

STANISŁAW W. LEŚNIAK

ŚWIATEŁKA W CIEMNYM KRAJU.

55

ŚWIATEŁKA
W CIEMNYM KRAJU.

NOWELLA

przez

Sygurda Wiśniowskiego.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-83

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA Księgarza.

1879.



Довволено Ценаурою.

Варшава, 5 Января 1879 г.

Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska N. 20.

3655

1.

Czy słyszeliście o niebezpieczeństwach i majestacie południowego Oceanu Spokojnego, odzianego w pełną burzę? Nie mówimy o zielonych, nieregularnych bałwanach Atlantyku, o błękitnych falach Śródziemnego morza, o mętach Północnego—dąsy tych wód są straszne tylko dla szeurów łądowych, im tylko dają temat do przenikających opowiadań o „burzy na morzu“. Stary żeglarz, lub wytrawny podróżnik, który oglądał bałwany tam, gdzie żaden łąd nie więzi oceanu, był tam gdzie szumią wieczne, rzetelne burze, nie lęka się Północnego morza kaprysów. Gdy fale atlantyckie skaczą i szumią, on bawi się efektem światła na ich ruchliwej powierzchni. Ale i jego twarz zblednie na morzu, co rodzi fale-tytany, z których każda zatopiłaby bujny okręt, gdyby się jej tylko udało wpaść na pokład, fale, których ciosy prą statek z niezłomną potęgą losu, wbrew woli sternika i manewrom zagli.

Światelka w ciemnym kraju.

Jest to armia fal czarnych, jak zamglone niebo onej strefy. Każda fala trzęsie białą grzywą. Maszerują z rozwagą, w nieskończonej szarzy. Najstarszy żeglarz drży przed ich atakiem, jeżeli okręt jego znajduje się pomiędzy nadciągającą armią, a łądem szarzejącym na widnokręgu. Kunszt szypra może w takim razie przedłużyć opór, lecz nie odwróci katastrofy. Wielki to i smutny widok, a rezultat musi być niewątpliwym, skoro się nań składają: fale Oceanu Spokojnego, piękny okręt, pełny istot żywych, i żelazne, harde, ciemne wybrzeże Australii!

Czy zwiedzaliście kiedy górniczą kolonię w Nowym-Świecie, gdzie już skarby wyczerpano prawie? Podczas waszej żeglugi do tej części ziemi czytaliście lub opowiadano wam, cuda o kopalni, której pagórki roły się przez przeciąg olimpiady stotysięczną armią awanturników; której doliny wydały więcej od summ bajońskich, a z pagórków wydałybyto summę, równą daninie, jakiej żądają zaborcy od podbitego narodu. Zgiełku, rozpusty, marnotrawstwa i excentryczności jej mieszkańców Bret-Harte nie zdołałby opisać. Zbiera was ciekawość zajrzeć do takiego Ofiru, w którym odbywa się karnawał chciwości i swywoli. Książka opisująca go, nosi datę ledwie o kilka lat wcześniejszą od dnia, w którym ją czytacie. Ale o dżiwie! gdyście wysiedli w porcie najbliższym celu

waszej pielgrzymki, tubylecy nie umieją pokazać drogi do wielkiej kopalni. Nareszcie, po długiem szukaniu, znajdziecie doświadczonego pioniera, co zwiedził kraj wzdłuż i wszerz, i zna wszystkie jego tajniki w okręgu stomilowym.

— Pan pyta o drogę do *Wiszącej skały*? — woła on z zadziwieniem. — A po co? Któż tam zagląda teraz? Szkoda czasu! Jeżeli pana *swędzą* palce i chcesz ryzykować swój czas, pracę i pieniądze na szukanie złota, jedź zemną do *Wzgórz piramidalnych*. Kto żyw, jedzie tam; to nasz Ofir terazniejszy. W tamtym niema już od lat trzech żywej duszy. Wydobyli z niego co mogli, a gdy złota zbrakło, przenieśli się do *Piramid*. Nie jedź tam, to pustynia!

Gdybyście jednak nie słuchali tej rady, i wzdłuż szybko zarastających, znikających ścieżek trafili do dawnego Ofiru, przekonalibyście się, że ów pionier przedstawił z przesadą jego opustoszenie. Znajdziecie jeszcze gruzy wielkich domów, i obmurowane łoża, w których spoczywały niegdyś potężne maszyny; znajdziecie kilka mil kwadratowych, pokrytych i poświdrowanych tysiącem szybów, co się zapadają z łoskotem. Okolica przypomni wam powierzchnię księżycy, którego każdą część rozsadziły wybuchy wulkaniczne i podziurawiły kratery, aż stała się podobną do gąbki. W środkowym punkcie onych gruzów i zniszczenia tuli się kupka na-

miotów i szałasów. Co rano i co wieczór snują się w koło nich apatyczne, milczące, odarte postacie.

Jest to górnicza załoga okolicy, garstka, która, przywiązawszy się do miejsca (bo pewne serca przyłgnęłyby i do Sahary), lub niemając środków na opuszczenie przekłętą gniazda, ryje mozolnie z dnia na dzień, jego wyjąłowione łono. Na ich twarzach nie wyczytacie nigdy wyrazu radości, ani nadziei, bo żaden wieczór nie nagradza ich dziennego trudu obfitszym plonem i nic nie wróży im lepszego jutra. Ich twarze wynędzniałe, ich odzież, którejby się wstydził Kafr lub Hottentot—dają wymowne świadectwo nędzy. Kując mozolnie i nieustannie w złożu kopalni, wydostają z niego tyle, że z głodu umrzeć nie mogą, lecz nie znajdują dość, aby żyć po ludzku, lub przenieść się w inne miejsce. Dawno straciwszy nadzieję wydobywania się z tego wygnania, przypominają stan najnędzniejszych gmin, w najbardziej przeludnionych ziemiach starego świata, z tym smutnym dodatkiem, że ich otacza pustynia, że są oddzieleni, gorzej niż murem chińskim od wiru społecznego, że umarli dla świata za życia. Jedną zostaje im pociecha: wieczorami, przy ognisku, na które znieśli paliwo z mozołem (bo liczna ludność wycięła za dobrych czasów bór miejscowy w szerokim obrębie), prawią o przeszłej świetności osady. Wszak minęła niedawno.... lat temu dziesięć, może pięć; wszak

przewyższyła wszystko, co było przed nią a i po niej nie widziano nic podobnego! Pamiętają sta faktów, tysiące anegdot o niej. Tędy szła ulica, którą toczył się co wieczór tłum z kilkudziesięciu tysięcy górników, spekulantów, kobiet.... szalona bachanalia, sypiąca pyłem złotym. Tam, nad rzezułką, świeciły gmachy podobne do fabryk europejskich, które pytlowały dniem i nocą rudę złotodajną, a co sobota wywożono z nich kruszec *taczkami*. Blisko ich zwalisk, gdzie hałdy z głębokich szybów żółcieją i bielą się nakształt mogił, szła żyła kruszcowa, z której szczęśliwsi wydobyli pańskie fortuny. Gromadka siedząca przy ognisku, wierzy, iż w gorączce pierwszych poszukiwań, prześlepieno niejedną gałąź tej żyły, i każdy mógłby dziś jeszcze zbogacić się, lecz, niestety, nikt nie ma sił i środków do odszukania skarbów, zatopionych przez wodę. Takimi opowiadaniem zabijają cichy, ciepły wieczór australski, póki Krzyż Południowy nie zasunie się za bór zachodni. Szare eukaliptusy, odbijające się niewyraźnie na błękitcie, podobniejsze do duchów drzew, niż roślin z kory i konarów, chwytają w lot jasne meteory konstellacyi. W siatce ich gałęzi płoną wielkie, ogniście gwiazdy — to znak dla górników, że czas do spoczynku. Za chwilę *dingo* ¹⁾ zaskomli i zawyje

1) Dziki pies australski.

na ruinach Ofiru. On mieszka w nich w nocy, a w dzień wyręcza go rój jadowitych węzów, co się wygrzewają na zapadłych szybach. Jednakże był czas, w którym to samo miejsce naśladowało zgiełk i rozpustę bulwarów paryzkich. Jego upadek i wyludnienie przedstawia widok, ściskający serce smutkiem.

Dwa żałobne tego rodzaju obrazy — rozhukany *Pacific* unoszący okręt ku mieliznie, tudzież wyludniona kopalnia — przedstawiłyby się jednocześnie wędrowcowi, któryby schodził pewnego dnia, na rok mniej więcej przed wypadkami, opisanymi w dalszych rozdziałach, z Gór Błękitnych ku zatoce *Twofold*. Był to dzień zimowy, podług pojęć o zimie w Australii: wiatr dął od południa, w nieregularnych, wściekłych wirach, burząc morze, rzucając na skały i piaski massy ukropu i piany, obalając nakszałt dróg wyciętych siekierą, długie pasma drzew rosnących gęsto i prosto. W swym locie wzdłuż równin nadmorskich pędził on wielkie obłoki przed sobą, które gromadziły się w koło gór, leżących równolegle z wybrzeżem, i zalewały niższe ich stoki deszczem, a bieleły czuby ich śniegiem. Niekiedy słońce przedzierało się przez obłoki; posiadając niezmierną potęgę w tej strefie, w zimie nawet topiło ono gwałtownie śnieg spoczywający na górach. Ztąd panorama zmieniała się co godzina; pagórki raz się obwijały w białe

całuny, drugi raz odzyskiwały barwę swej roślinności, wzdymały się skałami o różnych kolorach, a z ich boków spływały mętne wodospady. Słowem, była to zima wilgotna, zmienna, obrzydliwa, a wszystkiemu winien był ów wielki łańcuch Gór Błękitnych, niedaleki od morza, zatrzymujący burze, wilgoć i chłód, jakie zasyłał lądowi ocean. Za górami, na szerokich nizinach w środku kontynentu, znajdziemy kraj wiecznego lata, ciągłego skwaru i posuchy. Być może, iż wypadki naszej powieści zaprowadzą nas i do tej okolicy. Narazie nie znamy innej sceny, oprócz wzgórz, zbiegających stromo do zatoki *Twofold*, której nazwisko znają wszyscy mieszkańcy antypodów, chociażby z tego powodu, że owe pagórki zawierały przed kilkunastu laty jedną z najbogatszych kopalni australskich, którą w mowie potocznej nazywano *Gulf* (Odnoga).

Wymieniona zatoka słynęła także z innego, mniej pochlebnego powodu. Jej północny przylądek sięgał dalej ku wschodowi, niż którakolwiek część okolicznego lądu. Okrety płynące od południa, musiały zbaczać z prostego kierunku i okrążyć w wielkim kole nie tylko ów przylądek, lecz i niezliczone skały i mielizny: wybiegające z niego w morze. W latach, o których piszemy, latarnia morska, zbudowana później przez troskliwy rząd, nie ostrzegała jeszcze mrugającym promykiem, kędy leżał

przyłądek i mielizny: więc niejeden żeglarz nie umiał obliczyć rzeczywistej długości przyładka i znajdował się o świcie w zatoce Twofold. Mógł się nazwać szczęśliwym, jeżeli brzask dzienny pokazał mu skały zagradzające dalszą podróż na północ, zanim sztaba jego okrętu o nie uderzyła. Nawet w takim razie położenie jego byłoby bardzo smutnem, jeżeliby wiatr dał od wschodu lub południa, gdyż zatoka była zupełnie otwartą w tych kierunkach. Dobry okręt w pogodę mógł wylawirować z niej na pełne morze; ale w zimie, w burzy, owe ogromne, olbrzymią siłą obdarzone fale oceanu Spokojnego, rzucały go zwykle w głąb' zatoki i rozbijały na jej mieliznach. Wypadki tego rodzaju powtarzały się często, choćby dlatego, że zatoka Twofold leżała przy szlaku wodnym, po którym wszystkie okręty z Melbourne do Sydney żeglowały. Z naw kursujących pomiędzy dwiema stolicami Australii; z licznych, drobnych statków zmierzających z Tasmanii na północ wielkiego lądu, wpadł już niejeden w matnię zatoki. Podobna przygoda wydarzyła się parę razy wielkim okrętom, dążącym z Europy do Sydney, naładowanym cennymi towarami i cenniejszą ładugą z kilkudziesięciu osób. Biedacy cieszyli się, że za jaką dobę ujrzą przystań i staną na lądzie. Okrutna zatoka rozczarowywała ich w straszny sposób. Tego rodzaju katastrofy powtarzały się tak często na jej wodach, że po-

między żeglarzami australskimi ustaliło się przekonanie, iż zdrada ludzka przyczyniała się do wciągania okrętów na owe mielizny. Chociaż rzecz ta nie stoi w bezpośrednim związku z naszą powieścią nadmienimy, że późniejsze badania dowiodły, iż majtkowie mieli rację. Po upadku kopalni znaleźli się ludzie, którzy korzystali z dzikości i samotności okolicy, w celu oddawania się rzemiosłu, w wielu barbarzyńskich krajach praktykowanemu: wabieniu okrętów na mielizny i zbieraniu towarów, wyrzucanych później na wybrzeże. Twierdzono, iż korsarze w zatoce Twofold posługiwali się sposobem, który łatwo zwodzi najprzenikliwszych szyprów. W ciemnej nocy, gdy spodziewali się, że okręt jaki żeglował przed zatoką, wysyłali człowieka na koniu albo z długą żerdzią. Człowiek ten trzymał wysoko latarnię, i poruszał ją nieustannie, regularnie. Od strony lądu światło latarni było zakryte blachą, ale jaśniało tem silniej od strony morza; jego barwa i ruch czynił ją podobną do latarni okrętowej, bujającej na głębokich, bezpiecznych nurtach; dowódzca okrętu mógł się więc łatwo pomylić. Sądząc, że inny okręt płynie tamtędy, dążył on w kierunku światła, żeby ominąć ów fatalny przyładek. Jaki los spotykał zmylony okręt i załogę, łatwo domyśli się czytelnik. Rozbicie statku, wyrzucenie na ląd beczek i skrzyń zawartych w nim, zatonięcie załogi—nie kończyło

katastrofy. Tych, co wpływ lub w łodzi do brzegu się dostali, spotykała śmierć okrutniejsza, bo korsarze wszystkich ziem wierzą w zasadę: „Nieżywi nie mogą zdradzić tajemnicy.“

Tego rodzaju zdrada usidliła pewien okręt, którego położenie przyczyniało się do okropności obrazu, na jaki patrzyłyby oczy wędrowca, spoglądającego z gór na osławioną zatokę, w dniu wspomnianym powyżej. Wędrowiec mógłby zobaczyć morze, jak je odmalowaliśmy na wstępie opowiadania i opuszczoną kopalnię, z grupą nędznych szałasów i gromadką niekzemień wygląających górników, i okręt, pasujący się, bez nadziei ratunku, u fatalnych mielizn. Ale jeżeli okręt dostał się tam z winy niektórych mieszkańców okolicy, postępowanie górników dowodziło, iż większa część ludności w Gulfie była prawą i dzielną. Zobaczywszy o brzasku dnia położenie smutne okrętu, okrążyli oni część odnogi, aby zbliżyć się do niego, ubolewali nad jego losem; cieszyli się, ile razy wiatr łagodniał, a statek korzystając z chwilowej ciszy, zdobywał się na poruszenia, oko w oko burzy spoglądał, i oddalał się od niebezpieczeństwa. Zbiegowisko na skale, z kądem walkę ludzi z żywiołami najlepiej było widać, wydawało wtedy radosne krzyki; gdy przeciwnie wiatr się wzmagał, a fala po fali wtrącała statek w głąb' zatoki, poczciwi górnicy zalewali się łzami. Nareszcie znikła ostatnia nadzieja zba-

wienia dla okrętu. Jego czarne burty drgały już pomiędzy zielonym i perłowym *wartem*, szumiącym w długiej linii, równoległe z lądem. Wart ten oznaczał: gdzie kończyła się głęboka woda a zaczynały mielizny. Skoro okręt wpadł weń, stał się bezwładnym, a utknąwszy na skale, przestał się podnosić i opadać z falą. Bałwany znalazły nową zapórę w jego cielsku; zaczęły się przewalać przez jego pokład, zmiatać domki i ludzi, tłuc o maszty, na które się schroniła czynniejsza część załogi, rozbijać i zatapiać łodzie okrętowe, spuszczone przez nieszczęśliwych żeglarzy.

Biedna, odosobniona osada górnicza w Gulfie nie posiadała ani rakiet z linami, ani łodzi korkowych ani żadnych innych przyrządów, używanych w krajach ucywilizowanych do ratowania rozbitków. Nie miała ona środka do połączenia wybrzeża z okrętem, tkwiącym o paręset kroków od niego. Jeden powrót od masztu do skały, wyciągnąłby wszystkich szukających bezpiecznego schronienia, ale kto połączy przedmioty, rozdzielone straszną otchłanią? Najlepszy pływak nie zwalczy wiru, łódź okrętowa nie zdoła odbić od burtu — bałwan rozbije ją o ten sam burt. Czółna górników nie były zbudowane do takiej żeglugi; — przekonali się, o tem, próbując nieść pomoc okrętowi. Fale wywracały ich czółna, używane w czasie spokojnym do ryb połowu, a zbudowane nakształt łupin orze-

chowych. Wioślarze z trudnością wrywali się śmierci i nie ważyli się już na drugą wyprawę. Tymczasem maszt po maszcie padał na okręcie; dwa stały jeszcze: główny i środkowy, którego reje służyły za schronienie dla całej załogi, oraz mały, pochylony maszcik na sztabie, u którego zwieszony był jeden tylko człowiek, gdyż towarzyszy jego wszystkich już pochłoneło było morze. Tylko błyskawiczny cudowny akt Opatrzności mógł ocalić tych ludzi.



W tej chwili zjawiła się na skale kobieta, na koniu, którego dosiadała nie nakształt amazonki, lecz po mężku, jak nieraz czynią wychowanki puszczy australskich. Nawet zajęcie się losem tonącej załogi, nie mogło powstrzymać górników od przeciągłych spojrzeń na tę istotę. Nie dziw, bo oprócz niej i Papuanek, nie zdarzało się im często widzieć kobiety. Amazonka, aczkolwiek ubrana z niedbałością, cechującą mieszkańców okolicy, z włosiem wilgotnym od deszczu i rozwianym, cerą ogorzałą i powierzchownością wpół dziką, zasługiwała jeszcze na ciekawe a gorętsze spojrzenia: była młodą, żwawą, nieszpętną. Niebawem nakazała podziwiać w sobie cenniejsze jeszcze przymioty.

Pomiędzy nimi znajdował się niewątpliwie nie-

jeden zuchwały i zręczny jeździec, jednakże żaden z nich nie byłby się podjął tego, co amazonka zamierzyła; koń jej, przyuczony do zbiegania po skałach, nakształt kozy, niósł ją po stromej pochyłości, spadającej w morze wprost okrętu. Zbiegłszy na piaski lotem mewy, niezważając na wołania mężczyzn, amazonka spięła konia i zmusiła go do wskoczenia pomiędzy bałwany. Walka konia z żywiołem trwała kilka minut, podczas których widzowie wazyli możliwości boju, tak nierównego napozór. Zwyczajne nałogi nie opuszczały ich nawet w tej solennej dobie.

— Utonie! jak szczęścia pragnę! — wołał jeden. — Koń nie wypłynie z tej fali. — Jak żyw, nie widziałem tak wściekłej piany na Kwoce i Kurczętach. Kładę uncję złota przeciw twojej nowej łopacie, że dziewczyna utonie!

„Kwoką“ nazywano w miejscowem narzeczu skałę, na której tkwił okręt, „Kurczętami“ zaś owe pomniejsze głazy, na których szumiało morze, i które nie po zwałały łodziom lądowym dostać się do okrętu.

— Przyjmuję zakład! — krzyknął zamurzany właściciel łopaty. — Zuch-dziewczyna! i ma więcej rozumu od nas wszystkich. Gdybyśmy byli dosiedli koni, zamiast wywracać się w czółnach i topić, bylibyśmy wydobyli każdą duszę z tego okrętu. Bies pozbawił nas przytomności! Wszak ka-

żdy z nas wie, że gdzie człowiek i łódź nie przepłynie, tam koń przejdzie. Zobaczycie, że dziewczyna nas wszystkich zawstydzi.

Wróżba zapalonego mówcy spełniła się nie bez trudu. Dziewczyna przebyła szczęśliwie pierwszą linię ukropu, szumiącą bliżej brzegu, przepłynęła stosunkowo cichą, głębszą wodę pomiędzy piaskiem nadbrzeżnym i Kurczętami, i wpadła w wir który wywracał był łódzie. Szlachetny koń posuwał się z bałwanami, jeździec przykuł się do niego tak, iż zdawało się, że kobieta i koń tworzą jednolitego centaury. Ludzie na maszcie nie próżnowali ze swej strony; wyrzucali cienkie, giętke powrozy, które jednak chybiały amazonki. Nareszcie pochwyciła ona koniec sznura, i zwróciwszy konia, powróciła do brzegu. Przywitano ją wiewatami; górnicy zaczęli przyciągać gruby powróż, połączony przez załogę z owym sznurem. Była to trudna praca... morze wyrywało im z rąk linę. Pracując w takt, przy śpiewaniu „hoj-ho, hoj-ho“, przywlekli okrętową linę do brzegu, najpierw jedną, później drugą. Liny przyciągnęły tratwę zbitą naprędce przez załogę z burtów i rejów, oderwanych przez wodę lub odciętych przez topory. Kobiety, dzieci, podróżnicy, majtkowie—zgoła wszyscy, oprócz tych, których morze dawno uniosło było z pokładu, dostawali się na ląd zbawczy. Nareszcie został na okręcie człowiek, wiszący na przednim maszcie. Koledzy za-

pomnieli o nim w zamieszaniu; nie rzucono mu liny, w celu przeniesienia go z przedniego masztu na środkowy. Jeżeli wołał o pomoc, nie słyszeli jego głosu, wśród ryku bałwanów; być może, iż go nie widzieli zgoła. Dopiero, gdy wszyscy zebrali się na wybrzeżu, przypomniano sobie owego rozbitka. Wszczęła się narada: kto ma wrócić wzdłuż liny i ułatwić mu dostanie się z owego gniazda do głównego masztu? Bez obcej pomocy nie mógłby tego uczynić, bo na całej przedniej części okrętu szalało morze. Część ta była narażoną na wściekłość fal, a wznosząc się nad środek pokładu, nakształt zamczyska panującego nad fortecą, zasłaniała środkowy maszt i majtków, którzy ową tratwę złożyli.

Naradę przerwał krzyk jednego z górników. Człowiek ten zauważył, że amazonka jeszcze raz pasowała się z falą, i zawstydzając wszystkich, płynęła ku opuszczonemu. Zadanie jej było tym razem trudniejsze. Dzielny rumak potknął się o linę przeciągniętą nad morzem; amazonka spadła z konia, ale w mgnieniu oka go dosiadła. Samotny rozbitek nie mógł rzucić liny, gdyż jej nie miał, lecz zachęcony giestami amazonki, sam się rzucił do morza, skoro koń zbliżył się do burtów okrętu. Rozumie się, że tuż przy tych burtach i od strony lądu, woda była spokojniejszą, bo okręt służył za groblę, zasłaniającą to miejsce od wzburzonej wody na otwartem morzu.

Rozbitek pochwycił rękę amazonki, wyciągniętą ku niemu, chwycił podaną sobie grzywę konia, i włókł się przy nim przez bałwany. W kilka minut później witano już na lądzie i amazonkę i ocalonego przez nią człowieka. Troskliwsi, widząc ją przemokłą i drżącą od chłodu, a dzielnego konia zbroczonego posoką, gdyż skały skaleczyły go w niejednym miejscu, chcieli konia opatrzyć i przebrać amazonkę w suchą odzież, chociażby męzką.

— Dajcie nam pokój! — zawołało dziewczę, uderzając konia nogą. — Zajmijcie się rozbitkami, ratujcie topielców, nałóżcie wielki ogień. Ja jadę do domu po żywność. Niewiele tam, ale wystarczy na ciepłe śniadanie dla wszystkich.

Ledwie skończyła, koń zadzwonił kopytem po kamykach nadmorskich. Amazonka śpieszyła się, bo od tej zatoki liczono godzinę jazdy do miasteczka.

Za nią leciały błogosławieństwa rozbitków i pochwały sąsiadów. Wszyscy zgodzili się na to, że cała Australia nie ma drugiej takiej amazonki jak Gracya Busel i że wspomnienie jej czynu będzie świeciło, nakształt wspaniałej gwiazdy, nad ciemnym wybrzeżem zatoki Twofold.

II.

Pamięć powyższego wypadku przechowywała się w Gulfie przez rok przeszło, zanim wydarzyły się sceny, które zamierzamy opisać w dalszych rozdziałach. Rok ten nie bardzo zmienił powierzchowność tej górniczej osady, a zmiany jakie były, wyszły jej na niekorzyść, czyniąc ją dzikszą i smutniejszą. Żeglarze i podróżnicy wyratowani z okrętu, dawno opuścili byli okolicę. Pomiedzy nimi było niemało powracających z Europy Australczyków, którzy udali się w głąb' kraju, skoro wytehnęli z przerażenia i wyleczyli się z guzów. Część majtków rozbiegła się także. Nikomu w Gulfie nie przyszło na myśl: sprawdzić zawczasu, kto utonął owej nocy; jak się ci nazywali, co zawdzięczali życie Gracyi Busel? Nareszcie przybył z Sydney jacht rządowy, żeby odstawić resztę rozbitków do stolicy, sprawdzić fakt rozbicia, zebrać szczegóły o uratowanych, i zwrócić gościnnym gór-
Światelka w ciemnym kraju.

nikom to, co wydali ze skromnych, własnych zasobów niespodzianym gościom. Kommissarz znajdujący się na parowcu, otrzymał bardzo niedokładne wskazówki co do liczby i nazwisk uratowanych pasażerów, a jeszcze mniej dowiedział się o przyczynie katastrofy. Okręt nazywał się *Dunbar*; mierzył 1,400 beczek; odbywał pierwszą podróż z Europy do Sydney; wiozł trzydziestu kilku majtków i stukilkunastu podróżnych. Większa połowa utonęła wraz z szyprem. Książ okrętowych nie uratowano.

Majtkowie pamiętali, że szyper zmienił kierunek okrętu o północy, zbaczając do światła innego okrętu. Kommissarz nie wątpił, że te fałszywe światła były przyczyną rozbicia się *Dunbaru*. Kto je wywiesił? Najbliższymi siedliskami przy osławionym przylądku były: osada górnicza, nazwana Gulf, i stacya starego, dawno w tej okolicy gospodarującego, *skwattera* czyli właściciela trzód, pasących się w lasach rządowych. Obie siedziby leżały w równem oddaleniu od zdradzieckiej skały. Urzędnik nie śmiał podejrzewać *skwattera*, ani jego ludzi; gdyby zaś górnicy trudnili się korsarstwem, nie żyliby w takiej nędzy. Pomimo troskliwych badań, nie znaleziono w okolicy ani śladu, ani świadka, któryby podał wskazówkę do poznania tajemnicy. Na razie wyznał brataniec owego *skwattera*, że w nocy, gdy *Dunbar* się rozbił, jechał z wizytą do stryja, i parę razy zadziwiło go światło na

owej skale; ten świadek jednak mieszał się w dalszem śledztwie, wpadał w sprzeczność, starał się złagodzić doniosłość wyznania poprzedniego. Kommissya powróciła do stolicy, niczego nie dokazawszy i przywiozła jaknajgorsze wyobrażenie o mieszkańcach Gulfu. Długo ostrzegano żeglarzy we wszystkich gazetach w Sydney i Melbourne, aby trzymali się jaknajdalej od zbójeckiej zatoki. Okrom tego negatywnego rezultatu, pozostał dodatni dowód pobytu kommissyi w Gulfie, w kształcie złotego medalu, udzielonego w imieniu Towarzystwa Humanitarnego w Sydney, bohaterskiej Gracyi Busel. Wszystko to dało powód do mnogich gawęd przy ogniskach górników. Łamano sobie głowę nad sprawcą złej reputacyi, którą ich osada nosić będzie na wieki; szeptano bardzo ostrożnie podejrzenia: dlaczego ów młodzieniec plątał się w swej indagacyi przed kommissyą; podziwiano śmiałość dziewczyny; powtarzano anekdoty o zamorskich gościach, którzy *nolens volens*, spędzili kilka tygodni w Gulfie. Z upływem czasu zajęcie się tą rzeczą osłabło w umysłach, nękanymi troskami i pracą, i zwykła apatya i cisza zaległy osadę. Jej weterani ubywali: jednego zadusił gaz zabójczy w starym szybie; innego zgmiotła zapadająca się galerya; trzeci zabłądził w górach i skonał z pragnienia; inni poumierali śmiercią naturalną, jeżeli wycieńczenie sił wskutek klimatu i niewygód, wolno

nazwać naturalną śmiercią. Ha, chociażby wszyscy wymarli, stare szyby, których tysiące ziało na pagórku przy osadzie, wystarczyłyby na cementarz!

Zapewnie mówionoby jeszcze rzadziej o owem zdarzeniu, gdyby obecność jednego z rozbitków nie przypominała go niekiedy.— Był to człowiek, którego Gracya uratowała z przedniego masztu. Nie skorzystał on z ofiarności rządu i nie dał się wywieźć do stolicy; nie opuścił wybrzeża, by szukać szczęścia wewnątrz kraju, lecz zajął szafas po jednym z nieboszczyków i został obywatelem Gulu. Sąsiedzi różnie tłómaczyli krok jego. Pamiętali oni czasy, gdy tysiące podróżnych przybywało ze wszystkich stron świata, by pruć złotodajne pokłady miejscowe—ale te czasy dawno minęły. Nikt nieobeznany z kierunkiem żył eksploatowanych niegdyś, nie mógł osiąść tam i liczyć choćby na najskromniejsze utrzymanie. Gulf był dla obcego chaotyczną masą kopców, jam i galeryj napełnionych zatrutem powietrzem, aczkolwiek tubylcy, którzy pamiętali kędy szły podziemne szlaki kruszcowe, umieli odszukać ich resztki. Nie wróżyli oni powodzenia nowemu swemu współobywatelowi. Z czasem przekonali się jednak, że albo szczęście mu sprzyjało, albo instynkt, właściwy dobrym górnikom, kierował jego pracą, bo milezący, od wszystkich stroniący, przybysz, który tak rzadko pytał o radę (a byłby jej nie otrzymał, chociażby

i pytał), znajdował we wnętrznościach Gulu ńródku do Źycia. Pan Busel, właściciel jedynej karczemki i kramu w osadzie, którego funty były lekkie, a uncy i gramy (temi waŹył złoto, dawane mu za wiktuały) były podobno cięŹsze niŹ być pówinny, traktował dość grzecznie nowego swego *kundmana*, dowód najlepszy, Źe ten kundman nie potrzebował kredytu. Pan Busel był jednak zbyt wytrawnym kupcem, aby miał komukolwiek zdradzić, ile złota przynosił którykolwiek z jego klientów, w sobotę wieczorem. Górnicy w takiej okolicy mają słuszne powody, Źeby lewa ręka nie wiedziała, ile prawa trzyma. Pamiętajmy, iż brat bratu nie ufa w pozbawionej panowania praw pustyni. Dość, Źe rozbitek nie był nikomu cięŹzarem i przyzwyczajono się do niego. JeŹeli został w biednym Gulfie, był to dowód oczywisty, Źe nie miał nigdzie mienia, rodziny i ogniska, Źe było mu wszystko jedno, gdzie wlece samotny Źywot. Sąsiedzi byliby wcale nie zwracali na niego uwagi, gdyby nie był się różnił cokolwiek od nich zwyczajami i nałogami. Niektóre z tych zwyczajów i nałogów budziły w nich śmiech. Wszyscy prostacy i barbarzyńcy lubią mieć kozła ofiarnego, Źeby popisywać się na nim swym dowcipem. Takim kozłem zrobili rozbitka.

Gdyby nie on, nie byłoby o kim i o czym gadać w Gulfie. Murzyn na koniu przywoził raz na tydzień pocztę, w formie kilku listów dla właścicieli

kramu i stacyi, i jednej gazety dla pana Busela, której podobno nikt nie czytywał, bo mieszkańcy Gulu dawno przestali się zajmować tem, co się działo w reszcie świata, poza ich osadą. Raz w miesiąc przechodziła eskorta czyli patrol, złożony z żandarmów, którzy ciągnęli het od Śnieżnej Rzeki, gdzieś daleko w Alpach Australskich. Nad tą rzeką znajdowały się ludne i bogate kopalnie. Patrol ten w swem przejściu zabierał złoto od kupców i górników, rozrzuconych po kraju, i odstawiał je ostatecznie do stolicy, pod poręką rządową i opieką swoich rewolwerów. Skoro patrol zaszedł przed sklep Busela, górnicy zbierali się pod rozłożystym cedrem. Było to jedyne drzewo we wsi, które oszczędziły topory ich poprzedników. Jedna część cedru ocieniała sklep pana Busela, druga wisiała nad szybem, zamienionym w studnię. Z pod tego drzewa przypatrywano się zapyłonym wojakom; pod niem zbierały się w gorących dniach stare szkapy górników na „popołudniowego szpaka“ i stojąc parami, każdy głową do ogona kolegi, opędzały z siebie zajadłe muchy australskie. W niedzielę parlament miejscowy zasiadał pod drzewem, a uczestniczyła w nim cała kolonia. Brodaci weterani czarnego złoza, pokazywali się wtedy w czystych bluzach flanelowych; zasiadali indyjskiem kołem na głazach, albo wiadrach obróconych dnem do góry,—gawędzili i spoglądali

na morze. Pyszny widok wybrzeża, skał, przyładków, toni i białych żagli, daleko, daleko przemykających się, przemawiał nawet do tych serc apatycznych. Napatrzywszy się nań, opowiedziawszy to wszystko, co pamiętali o „dobrych czasach“ i owej dobie „kiedy-to jeszcze znajdowano w Gulfie złoto“, wytrząsali popiół z fajek i rozchodzili się leniwie na swe barłogi. W dni powszednie nie mieli czasu na pogadanki pod drzewem.

Musiał to więc być niezwykle wypadek, który zgromadził ich tam pewnego poniedziałku. Okrom *Rozbitka*, niestawiającego się nigdy na podobne zebrania, zebrali się wszyscy. Na ich twarzach przebijało się wzruszenie, podobne do tego jakiemu ulegali w pamiętnym owym poranku, gdy *Dunbar* rozbił się w zatoce. Przedmiot zebrania był o tyle zajmującym, że szczupła gromadka podzieliła się na kilka kółek, które żywo rozbierały nadzwyczajne wydarzenia poprzedniej nocy.

— Powiadam ci — gardłował parobek Busela, prezydujący nad grupą przy pniu — że stary jegoś musi być bardzo chory. W nocy nadbiegł jego murzyn, Gałka Śniegu. Rzeka wezbrała, jak nie pamiętają, więc nie śmiał jej przepłynąć. Wrzeszczał zpoza wody, że byłby zbudził siedmiu umarłych. Przewiozłem go i spławiliśmy konia. Jechał do Edenu.

— Do Edenu! — zawołał inny. — Pewnie po doktora. Założę się, że jeszcze tam nie dojechał. To sześć godzin jazdy, przez dyabelskie góry. Nie wróci przed wieczorem, chociażby miał najlepszego konia z pastwiska Bella.

— Miał go... tego gniadego, pełnej krwi, z białymi pęciami; szkapa jak ptak. Skoro mi tylko Gałka Śniegu powiedział, że jedzie do Edenu, zgadłem zaraz, że po doktora. A kto u was kark skreślił? pytam, bo przecież nikt nie choruje na tej stacyi.

— A, stary jegomość — rzecze murzyn — Stoczył się z wysokiej skały i ręką ani nogą ruszyć nie może, ale wciąż klnie i złorzeczy synowcowi.

— Szkoda starowiny — ktoś bąknął.

— A co tobie dobrego zrobił, albo komukolwiek? — ofuknął inny.

— Nic, ale i nie złego. — Gdyby Busel stoczył się z jakiej skały — i....

Część słuchaczy przyświadczyła pobożnemu życzeniu. Górnicy zawsze uważają liweranta prowiantu za coś w rodzaju opryszka.

— Co u pioruna zaprowadziło Bella na skałę? — zapytano z różnych stron.

Uważny słuchacz byłby prawdopodobnie znalazł odpowiedź na tę zagadkę w rozprawach przy studni, zkad inna znowu grupa patrzyła na zatokę. Poranek był tak pogodny, że możnaby się zakochać w życiu, które obdarza nas podobnem niebem.

Nad wodą powiewał wietrzyk, niepozwalający jej zachować szklanego, martwego połysku, lecz zaciemniający jej powierzchnię drobnymi falami. Pomimo pogody, mewy wrzeszczały trwożliwie, a cielęta morskie uciekały do wody, płochliwie rycząc. Ten popłoch pomiędzy pierzastemi i czworonogami wywołał był okręt, posuwający się powoli po zatoce. Zakreślał on po niej nieustanne koło, nie chcąc snadź zarzucić kotwicy.

— Wojenny to okręt — mówię wam!—twierdził mężczyzna, różniący się odzieżą od zgromadzenia. Inni mieli białe kaftany, białe spodnie i czapki płócienne—były one niegdyś białemi, lecz zamazała je później glina żółta albo ceglasta; on zaś miał na sobie błękitną, wełnianą bluzę i był bosy. W rękę trzymał wiosła i kawał sieci. Wszyscy znali go, jako rybaka, przynoszącego do kopalni swój połów.

— I parowiec do tego!—dodali towarzysze.

— Odkiedy zatoka zatoką, nie widziała takiego gościa—znów począł rybak. — Gdyby się im było udało zwabić go na skały, ową latarnią....

Jako? — czy próbowali?

Próbowali i złapali — tatarzyna. Kapitan krążył tamtędy umyślnie, żeby ich schwytać na gorącym uczynku. Wymknęli mu się jednak.... chytre to psy. Licho chciało, żebym się wybrał przed świtem do sieci. Zostawiłem je w zatoce wczoraj wieczorem. Capnęli mnie, zawieźli na pokład; myśla-

łem, że mnie powieszą. Indagowali mnie jak rozbójnika, musieli jednak puścić, ale ta sprawa nie skończy się ani dziś, ani jutro. Kapitan kłął, na czem świat stoi, że wytępi całe korsarskie gniazdo. Oni podejrzewają Bella.

— Bella! — krzyknęli wszyscy.

— Tak, Bella — zapewnił rybak.

— Kto-by się był po nim tego spodziewał? Wszakżeż to bogacz. — Odezwał się najmłodszy obywatel. — Nie potrzebował hańbić całego powiatu. Czy nie wstyd dla nas wszystkich, że najstarszy obywatel Gulfu oddawał się takiemu rzemiosłu? Teraz wezmą go, powieszają....

— Tem lepiej! — zawołał ktoś.

— Tem gorzej! — przeczył inny. — Mało nas zostaje sąsiadów, a ile razy zniknie jeden, chociażby hultaj, przykro się robi człowiekowi. Nawet kłody naszych starych chat pozrastały się mchem i pleśnią — cóż dopiero serca?

— Prawda, prawda! — mruknął piąty głos. — O jego brzydkim nałogu nikt nie wiedział, a był to dobry sąsiad. Człowiek mógł znaleźć kompanię wesołą, póki jego drzwi stały otworem. Jeżeli *ich* zabiorą a dom spalą, Gulf opustoszeje do szczętu.

— Kto-by był przewidział to wszystko, jeszcze wczoraj, gdy stary Bell obiecywał nam pożyczkę, aby spróbować szczęścia w nowym szybie, którego

Busel nie chce już dalej świdrować, i tylko do końca miesiąca jeszcze go zatrzymuje....

Przypomnienie powyższe wyszło z ust najmłodszego górnika, a przerwał je rybak, człek w wieku podeszłym. Obejrzawszy się kilka razy, zniżył on głos i szepnął kolegom, którzy instynktownie zbliżyli się do niego:

— Jednakże, jednakże, nie w tem dziwnego.

— Co?!—zawołali wszyscy.

— Podejrzewałem to dawno. Wy młodszy ode mnie, i żaden z was nie pamięta pierwszych dni w Gulfie. Przyszliście tu na ostatek, i dlatego tu siedzicie. Kto tu był z początku, a miał rozum, nie był tak głupi jak ja: poszedł w świat z pełnym trzosem, jeżeli nie przepadł w szybie, albo nie zginął marnie w inny sposób. Lepiej ja od was pamiętam, jak tu niegdyś bywało, chociaż nigdy nie zapuszczałem się pod ziemię, ale pilnowałem wody. Kiedy przyszedłem pierwszy raz do miasta z rybami, wszystko, co wam teraz powiem, stało się właśnie; narazie zapomniano o tem prędko. Któż mógł w owych czasach pamiętać, choćby to, co się stało *wczoraj*?! Gdyby nawet ziemia się trzęsła, zapomnieliby o tem nazajutrz, przy ciągłym harmidrze i odkrywaniu złota. Ludzie mieli też powód, aby nie mówić o tych rzeczach, bo zauważyli, że kto nie umiał trzymać języka za zębami, ten zaw-

sze doczekał się psoty, lub czegoś gorszego. Stary Bell nosił wtedy imionisko *Upiora Gulfu*.

— Upiora?

— Upiora! I nie nosił go darmo, pamiętajcie.

— Dlaczegoż go tak przezwali?

— Ha, jeżeli prawda, co mówił Murzyn, posłany po doktora, mogę powiedzieć dlaczego, bo stary Bell podobno nigdy nie wstanie i nie zajrzy mi w oczy. Rzecz się tak miała:—W pierwszych latach Gulfu, kiedy ludzie przychodzili tu Bóg wie z kąd i jakie mi drogami, a wracali z pełnemi trzosami lada którejdy; gdy nie było drogi, ani policyi, a sędzia-*lynch* trzymał jakitaki porządek w kopalniach, spostrzegł ktoś, że nikt z tych, co zabłądzili w kierunku stacyi Bella, nie pisał nigdy do znajomych. Długo nie zwracano na to uwagi, ale raz znalazły się jakieś poszlaki, zbudziły się podejrzenia; komitet bezpieczeństwa pojmał Bella, i byłoby źle z nim, gdyby nie jego przyjaciele. Szanowny pan Langton, członek parlamentu,—Gulf wybierał wtedy własnego posła—podjął się obrony i tak przedstawił sprawę, że puszczono Bella dla braku dowodów.

— A, a, Edward Langton! Gdzie też on się obraca teraz?

— Nikt nie słyszał o nim od kopy lat. Znudzilo mu się tutaj, znudzilo i w Sydney, a pewnie znudzilo i w Europie, dokąd się wybrał, napchawszy sobie

kieszeń w Gulfie. Nie widziałem go nigdy. Mówiono mi, że należał do rzędu ludzi wiecznie niezadowolonych. Zawsze narzekał, że ludzie nie szanują go, jak na to zasługuje, choć nie był pełnoletnim, kiedy go wybrano do izby, i trudności mu robiono z tego powodu—zgoła, człek niestateczny. Zaczął dobrze, tylko nie umiał doczekać się dobrze końca.... szalawiła....

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się za mówiącym nowy przybysz, na którego obróciły się wszystkie oczy.— Człek sławny ze stateczności, ma najlepsze prawo ganić cudzą niestałość, a któż jest tu stateczniejszym od Rekina?

Śmiech tego człowieka miał dźwięk osobliwy, drewniany, i przypominał klekot szarego ptaka, którego głos tak jest podobnym do parskania ludzkiego i wrzasku osła, że go Australczycy nazwali „osłem latającym“. Już sam ton śmiechu mógł zadziwić słuchaczy, chociażby zjawienie się Rozbitka nie było tego uczyniło. Rozbitek — tak nazywano górnika uratowanego z *Dunbaru* (i nie znano go pod innym imieniem, albowiem, zwyczajem górników australskich, wszyscy tubylcy mieli imioniska i niechętnie używali nazwisk) pod cedrem! na gminnej radzie! była to nowość niepospolita. Nawet Rekin — ów rybak, którego stateczności słusznie przyganiał mówiący, albowiem cały świat wiedział, że stary Rekin nie mógł wytrzymać z srebrną mo-

netą w kieszeni, żeby się nie upił — nawet Rekin zapomniał o uszczypliwości kryjącej się w słowach Rozbitka i otworzył szeroko oczy, na widok niezwykłego gościa.

Ten gość wyszedł był niedawno ze swej chaty, a sądząc z przyborów, szedł do roboty. Pod pachą trzymał szeroką, płytką miskę blaszaną, w której znajdowała się niejedna dziurka zatkana szmatą — znak pewny, że miska należała do ubogiego górnika. Oprócz narzędzia do płukania złota, niósł motykę, z długim, sierpowatym grotem z jednej strony a młotkiem z drugiej. Trzymał ją na ramieniu, jak żołnierze noszą karabin; żelazna, krótka łopatką wisiała na motyce, za jego plecami. Ubiorem nie różnił się od kolegów, ale był staranniej oprany, umyty i uczesany. W jego ruchach przebijały się resztki jakiejś manieri, niewłaściwej mieszkańcowi Gulu.

— Hm! — prawil, nietroszcząc się o zadziwienie ogólne i opierając swe narzędzia o drzewo. — Jak łatwo odsądzać innych od czci i wiary! Przecież cały powiat, ba, cały kraj powtarzał nazwisko szanowne pana Edwarda Langtona, niedawniej, niż dziesięć lat temu. Był to fe-no-me-nal-ny młodzieniec — tu mówca zakreślił wielkie koło ramieniem, przybrał pozę, jakby stał na trybunie, i wtknął palec w dziurę swego kaftana, gdzie zwykle znajdują się guziki u kamizelki. — Powiadam wam,

że to był fe-no-me-nal-ny umysł. W pierwszym roku swych spekulacyj w Gulfie dokupił się najlepszego szybu i najlepszego młyna, choć zaczął od niczego. *Gwiazda* i *Herold Gulfu*, wszystkie gazety wydawane w kopalni, drukowały jego mowy *in extenso*. Nawet w stolicy....

— *In... in...*—przerwał Rekin.

— *In extenso...* dosłownie! Ach, prawda, że niewarto miotać pereł... dość, że szanowny pan Langton, członek parlamentu, właściciel młyna Eldorado i t. d. był szafawilą.

— Zkąd-że waśc wiesz to wszystko?—pytał Rekin, który posiadał wrodzony geniusz do argumentów, a wietrząc rozprawę z godnym siebie przeciwnikiem, zapłonął z radości.

— Zkąd? Byłem wtedy... hm... mieszkałem w Sydney; słyszałem o nim, widywałem go. Każdy *gentleman* znał wtedy szanownego pana Langtona. Gdyby nie zazdrość, podła, nikczemna zazdrość, byliby go zrobili ministrem kopalń i robót publicznych, kiedy szanowny Jan Robertson formował drugą swoją administrację. Ominęli go: więc złożył mandat, wyprzedził się i wyjechał do Europy, gdzie dla wyższych zdolności szerokie otwiera się pole.

— Kiedyś taki mądry, powiedz-że, co się z nim stało w tej Europie?—pytał Rekin.

— Hm... jego europejska karyera obchodzi tyl-

ko Europejczyków; niema ona nic wspólnego z australskimi obdartusami—odparł zagadnięty.

— Nie osobiwa pewno karyera! Choć ja nie bywalec, rozum chłopski uczy, że takich Langtonów muszą liczyć na kopy w starym świecie. Jeżeli on się tam brał do wszystkiego jak u nas, szturmem, a nie mógł doczekać końca jednej sprawy, nim w drugą wetknął nos, pewnie go dawno dyabli wzięli. Pamiętam, że w Europie jak na drabinie: szczebel po szczeblu; a kto się bardzo śpieszy, ten albo spadnie, albo go stracą.

Miny słuchaczy świadczyły, że w ich przekonaniu wyszczekany Rekin miał słuszość. Jego przeciwnik sam to przyznał, bo się zniescierpliwiał i zawołał:

— Któżby mówił dłużej o takim człowieku jak Langton w takim miejscu i kompanii? Poradzi on sobie wszędzie, umie sobie dobierać ludzi i do serc ich trafiać.

— O, tak, tak! Pamiętam, że już za młodu lubił wesołych koleżków... łykał...

— Ale nigdy nie łykał na kredyt i nie żebrał o trunek.

Ponieważ Rekin był pijaczyną i pił na kredyt u Busela, ów argument *ad hominem* byłby niezawodnie wywołał bójkę i przypomniał dobre czasy Gulu, kiedy-to mordowano się codzień pod temsamem drzewem cedrowem, pięściami i szpikulca-

mi. Okoliczności sprzyjały w tej chwili awanturze, gdy nagle inny wypadek zwrócił na siebie całą uwagę Rekina.

Zacny ten marynarz spojrział przypadkiem na zatokę, właśnie gdy przeciwnik zabierał się do obelżywej odpowiedzi. Prawie jednocześnie ze wzmianką o pijaku zawołał Rekin:

— Czy nie mówiłem? Widzicie, że nie puszcza płazem nocnej awantury. Łodzie płyną po *niego*.

Te słowa odnosiły się do ruchu na pokładzie parowca, który zatrzymał się i leżał na spokojnej toni, obracając swój długi burt do górników. Jego kominy wciąż przedły cieniutki obłoczek dymu, gdyż pomimo błękitnego nieba i szklanego morza, ostrożny szyper nie mógł zostawić okrętu na los wiatru i możliwość nagłej zmiany w pogodzie, dopóki bawił w strasznej zatoce. Śruba okrętu obracała się jednak z taką powolnością, że zdawało się, iż pływający gmach nie posiada innego ruchu oprócz bujania się z regularnością wahadła. Z amfiteatralnych pagórków Gulfu można było policzyć majtków na pokładzie, stalowe paszczęki dział w wylotach, kroki wart w ponsowych mundurach, co chodziły na rufie i sztabie, grupę oficerów na moście pomiędzy kominami. Był to piękny obrazek, a jego tło tworzył przyładek wspomniany przez nas tylokrotnie, wyniosły, wyrastający w wielu miejscach pionowo z morza, nawet w pogodę płukany u stóp szumiącą

Światelka w biernym kraju.

falą i leżący na prostej linii, co przecinała Gulf i parowiec. Błyszczyki i kwarc w jego granitowych opokach świeciły w porannem słońcu nakształt złota i srebra, a sól morską, mchy i rośliny lgnące do skał mieniły się najrozmaitszemi barwami. Na takim fundamencie spoczywały buchaste, zielone pagórki, na których blisko morza drzewa nie rosły. Gdzieś u końca łysych pagórków, a na granicy boru, tuliła się stacya, niewidzialna z Gulu. Za nią, na stokach coraz wyższych, wznoszących się amfiteatralnie aż do gór niebotycznych, rósł bór, posępny jak wszystkie lasy australskie, z pni brązowych i popielatych złożony, a ukoronowany jakąś szarawą, żalobną zielenią. Pagórki i las wyglądały lepiej w zimowej dobie, niż kiedykolwiek: więc krajobraz przy przyłasku posiadał wdzięk pewien. Nie było na nim znaku życia; jego ciszę i wyludnienie trudno pogodzić było z tem, że niegdyś gnieździły się tutaj upiory zatoki Twofoldzkiej: owszem, można było mniemać, że człowiek nigdy tam nie zajrzał.

Na okręcie panował, przeciwnie, ruch niezwykły. Jego załoga zajmowała się spuszczeniem łodzi. Trzy punkciki oddzieliły się od burtów. Dwa zmierzają poczęły do górników, trzeci dążył w przeciwnym kierunku, szybko malejąc. Tamte zwiększały się co chwila: dostrzegano już ośm długich wiosel u każdej łodzi; ich ruch i kształt czółen

przypominały pająka, muskającego toń w szybkim biegu. Wioślarze zachowywali cudny takt, godny wojennych żeglarzy. Co dwie sekundy, mniej więcej, przyskała woda zpod ich kling i zwieszała się z wiosła w morze jak sznur pereł. Granatowe bluzy, białe kapelusze z szerokimi krępmi, błękitne kołnierze od koszul, spadające na ramiona wioślarzy, czarne wstęgi wkoło ich kapeluszy, pokazywały się po sobie kolejno. Widzowie na pagórku poznawali już oficerów, siedzących u steru, na ławach wysłanych banderą. Niebawem dobiły łodzie do płytkiej wody; kilku majtków wyskoczyło z nich i wciągnęło je bliżej brzegu, załogi wyszły na piasek i wyciągnęły swe barki na ląd, poczem uszykowały się po żołniersku. Zostawiwszy wartę przy łodziach, weszły prędko do wioski—jeżeli zaśługiwała na te miano zbieranina szałasów i chat, składających Gulf.

Ton oficera kommanderującego nie był na razie przyjacielskim. Badał on zebranych górników z żeglarską szorstkością i węzłowatością. Wnet przekonał się jednak ze szczerych odpowiedzi, że ci biedni ludzie nie stali w związku z mniemanymi złoczyńcami: owszem, byli oburzeni do najwyższego stopnia i chętnie-by ułatwili ich skarcenie. Wiedzieli przecież bardzo mało. Jeżeli przeciwna strona zatoki była rzeczywiście siedliskiem złoczyńców, jej mieszkańcy znosili się rzadko z gór-

nikami, ci zaś nie interesowali się zgoła światem, chociażby najbliższym, jeżeli on leżał poza obrębem zapadłych szybów i karczmy Busela. Można by sądzić, iż żaden z nich nie puszczał się nigdy na drugą stronę rzeki, której męt płynął w ciasnej dolinie pomiędzy wzgórzami, tak blisko wspomnianej karczemki, że możnaby było rzucić kamień z jej ganku do wody. Była to rzeka australska, wartka i szeroka w tej porze roku. Szpaler rozłożystych, iglastych drzew, zwanych dębami (jak *lucus* „*a non lucendo*“, bo niczem nie przyminają one europejskiej dębiny, chyba słojami pni ściętych), znaczył jej szlak do morza. Wlewała się do zatoki, służąc niejako za granicę pomiędzy porytami, z drzew ogołocconemi, wzgórzami kopalni, a lasem i zielenią, rosnącą na gruntach należących do stacyi. Te grunta obliczały się na mile kwadratowe. Pomimo rozmaitych poszukiwań nie znaleziono kruszców na drugim brzegu rzeki: ztąd zachowywał on swą pasterską i leśną urodę, a Bell dzierżawił grunta za rzeką od rządu za małą cenę.

Oficer nie zaspokoił się przecież pozorami niewinności górników. Odesławszy część swych ludzi do okrętu i urządziwszy rodzaj telegrafu do komunikowania się z kapitanem, zakwaterował się w karczmie Busela i zatrzymał we wsi siłę zbrojną, któraby wystarczyła na poskromienie dziesięciu podobnych osad. Zbierał skrzętnie wszystkie wia-

domości o życiu i charakterze właściciela stacy; badał o szczegóły wypadku, który miał się wydarzyć Bellowi przeszłej nocy. Nowina ta dała powód do wymiany znaków telegraficznych pomiędzy oficerem we wsi i kapitanem okrętu. Pokazało się, iż szyper był uprzedzony o niej, a jeden z chirurgów okrętowych został wyprawionym do stacyi. Popołudniu przybył oczekiwany lekarz z Edenu, obryzgany błotem, zmęczony, jak tylko bywają lekarze w owych krajach, gdzie dzień jazdy do chorego należy do ich normalnych obowiązków. Był on tu potrzebniejszym w roli sędziego pokoju niż lekarza. Będąc prawie jedynym przedstawicielem „inteligencji“ w Edenie (portowej mieścinie złożonej z tuzina domów) piastował on wymieniony urząd jako godność honorową; będąc zaś sędzią pokoju, musiał znów wyręczać niejednokrotnie notaryusza, oraz innych urzędników, którzy skutkiem rozległości powiatu niezawsze mogli stawić się na zawołanie. Takie łączenie sprzecznych funkcyj nie było dziwnem w kraju, gdzie ludzie pracy fizycznej bywają naraz pastuchami, kucharzami, *praczkami* i mierniczymi własnych majątności, a ludzie pracy umysłowej okazują taką samą wielostronność w wyższych zawodach.

Wieczór i noc minęły na gorączkowych rozprawach pomiędzy mieszkańcami wsi, a ciągłych przejazdów pomiędzy stacyą i domem Busela. Paro-

bek kupca nie zmrużył oka, przewożąc przez rzekę lekarza, oficerów, posłańców i majtków. Komendant był małomównym; ale górnicy dowiedzieli się wielu szczegółów o wypadkach na stacyi, z ust jego podwładnych. Bell stoczył się ze skały, uciekając przed rontem, który wysłano z okrętu, gdy próbował po swojemu zwabić statek na mielizny. Patrol usiłował odciąć złoczyńców od głębi lądu i wyłapać ich nad brzegiem, co się jednak nie udało. Koledzy uprowadzili Bella, i gdyby nie ów wypadek, wymagający obecności lekarza, nie miałyby dowodu, iż zamożny właściciel stacyi był zarazem głową korsarskiej szajki. Stan jego nie pozostawiał nadziei, aby mógł przeżyć do jutra. Oprócz kilku białych służących i Murzyna nie zastano przy nim nikogo. Wprawdzie znaleziono wiele śladów końskich i ludzkich naokoło stacyi, zostawionych bezwątpienia przez *buszrendżerów*, czyli opryszków, którzy zebrani tu byli przeszłej nocy. Te puhacze i sowy uleciały atoli, a gdzie i jak ich szukać? Nie miano Murzynów pod ręką, żeby wzdłuż świeżych tropów trafić do ich kryjówek w górach; żaden górnik w Gulfie nie posiadał tego kunsztu, a najbliższe koszary konnej żandarmeryi leżały bardzo daleko.

Marynarze przetrzęśli dom skwattera, chociaż konający właściciel protestował i wistocie żaden sędzia nie upoważnił ich był do rewizyi. Powołując

się na prawo morskie, że kapitan okrętu posiada królewską władzę w podobnych wypadkach, wyłamywali drzwi, czytali papiery, zaglądali do kryjówek, ale nie znaleźli najmniejszej rzeczy, któraby mogła pochodzić z jakiegokolwiek okrętu. Tak zwani słudzy, a prawdopodobnie koledzy zbrodniarza, nie raczyli odpowiadać na pytania. Nawet Murzyn był wyuczonym do tego stopnia, że nie pozwolił się indagować, a to na mocy australskiej ustawy, iż nie wolno wciągać osoby podejrzanej o zbrodnię w żadne wyznania, któreby mogły się obrócić na jej niekorzyść i dostarczyć przeciw niej dowodów winy. Zgoła, pomimo usilnych starań nie znaleziono nic takiego, coby usprawiedliwiło uwięzienie służących.

III.

Zbrodzień uszedł jeszcze raz sprawiedliwości ludzkiej, co nie nie znaczyło tym razem, gdyż sam przypadek ukarał go należycie. Jego stan i przemyślanie nad tem: jak też rychło skona?—zajmowały mieszkańców Gulu do tego stopnia, że nie zauważyli zmiany w cichym, stroniącym zwykle od ludzi, Rozbitku. Objawiał on gorączkowe wzruszenie—co mu się i przedtem trafiało: alboż nie był dziwakiem? Kręcił się wciąż wokoło domu Busela; ale i to ich nie dziwiło — był to jego zwyczaj, usprawiedliwiony licznymi powodami, śmiesznymi niekiedy w ich oczach, gdyż podejrzewali, że strzelał okiem do swej wybawicielki, częściej jednak wypływający z nałogu, który ich nie raził. Przybłąda lubił zatapiać robaka zgryzoty w trunkach Busela; oni wszyscy podzielali jego upodobanie. Takiego rodzaju społeczeństwo dziwiłoby się, gdyby ktokolwiek w jego łonie nie był pijaczną; nawet gnie-

wali się, że Rozbitek nie szedł za ich przykładem i nie wyprawiał burd po pijanemu, ale zadawała się bełkotaniem o swej wyższości duchowej, której dowodził w takim stanie przez deklamowanie ustępów w mowie niezrozumiałej — prawdopodobnie po łacinie, sądząc z częstych *us.* „Był to jedyny śmieszny nałóg jego“ — mówili. Drugiem jego głupstwem nazywali wyszukiwanie i zajmowanie takich punktów, z których mógł widzieć Gracyę lub głos jej słyszeć; a trzeciem — skłonność do monologów wobec drzew i starych szybów, jeżeli sądził, że go nikt nie podsłuchuje. Były to w każdym razie niewinne narowy, właściwe ludziom, co upadli bardzo nisko, a których serce trawi żal za straconą wyższością i pogarda dla własnych słabostek.

Chata zawierająca kram i szynk Busela była zbudowana podług reguł leśnej architektury w tej części świata. Ściany jej składały się z szerokich, grubych, nieogładzonych dranic, wetkniętych jednym końcem w ziemię. Na takich ścianach spoczywało wiązanie dachu, złożone z okrągłych, grubych prętów. Na niem leżały szerokie płyty kory włókniastej, zdjętej z największych drzew w boru i zmiękczonej ogniem, póki nie dała się wyprasować nakształt sążnistych arkuszy blachy. Gdzie kora popękała, tam światło słoneczne wpadało do chaty złotemi ziarnami i deszcz zaciekał. Za podłogę służyła matka ziemia: więc kurzu nie brakło

w chacie. Dranice w ścianach porozsypywały się i popaczyły; ztąd powstały pomiędzy niemi szerokie szpary, przez które gwizdałby wiatr zimowy i wpa-
dałyby latem roje komarów, gdyby właściciel do-
mu nie nawieszał był wzdłuż szpar płatków kory
lub starej werety. Były to jedyne rzeczy w chacie
przybite ćwiekami; wiązanie dachu, sprzęty—zgoła
wszystko, co potrzebowało spojenia, było zresztą
powiązane rzemyczkami z surowca, bo niegarbo-
wana skóra należy do najpospolitszych, a żelazo
do rzadszych zasobów pioniera australskiego.
W chacie były tylko dwie izby, ale otaczała ją sze-
roka weranda, której część osłonięto zupełnie korą
i podzielono na komórki. Tam znajdowały się sy-
pialnie mieszkańców. Weranda z widokiem na
rzekę była otwarta, a przed nią wznosiła się ku-
chnia domu — kuchnia australiska, z czterech słu-
pów, na których spoczywał daszek z kory, podob-
ny do wielkiego parasola, oraz z wielkiej kupy
popiołu i żaru na ziemi. Oprócz ogromnego ognia
w kuchni płonął drugi, zimą i latem, w szerokim,
otwartym kominie w chacie. Palono na nim naj-
cięższe kłody, jakie pan Busel i jego parobek mo-
gli przynieść znad rzeki. W tejże izbie znajdo-
wał się bufet, wyheblowany toporkiem, tudzież
szereg pułek, a na nich umieszczone napoje i towa-
ry. Było tam wszystkiego potrosze, od specya-
łów w puszkach blaszanych (gdyż mieszkańcy pu-

styni żywią się głównie rzeczami konserwowanemi w Europie lub w miastach australskich) do narzędzi górniczych, ale cały zapas możnaby zabrać na barkach dwóch ludzi. W izbie przyległej urządził pan Busel swą bawialnię, umeblował ją w stół i ławy domowej roboty, w taburety z próżnych baryłek, ozdobił ją siodłami i strzelbami, wysłał podłogę skórami kangurów, obił część mebli skórkami z małych torebników, zwanych *opossum*. Artystyczna ręka kobiety także pracowała nad przyozdobieniem tej izby. W oknach, które szyb nie znały, znajdowały się delikatne paprocie i kwiatki australskie, pielęgnowane w starych wiaderkach dla braku doniczek. Ściany były wyklejone papierem tapetowym, który popękał tam, gdzie szpary dzieliły dravnice. Tu i ówdzie wisały na nich ozdoby, zrobione delikatnemi palcami. Prawdopodobnie widzielibyśmy więcej śladów, że niewiasta przybywała w tym leśnym salonie, gdyby ich nie uprzętnięto, przy oddawaniu izby na kwatere pana porucznika z wojennej floty Jej Królewskiej Mości.

Ten pan porucznik siedział na łóżku, urzędzonym z próżnych pak, skór kangurowych, żołnierskiego płaszcza i worka wypchanego sianem a zastępującego miejsce poduszki. Krępy, ogorzały marynarz wydawał się zadowolonym ze spartańskiego łóża, na którym rozwalik się także rozmawiający z nim lekarz. Właściciel chaty, podoficer okręto-

wy na ordynansie i Rozbitek, tworzyli osobną grupę bliżej drzwi, okazując w ten sposób respekt dla oficera.

— Trudna do pojęcia żywotność! mówił lekarz, napełniając krótką, glinianą fajeczkę tytoniem, którego wpierv nastrugał z placka, podobnego do piernika:— Nie sądziłem, żeby człek mógł przeżyć godzinę po takim wypadku; tymczasem on gotów żyć jeszcze dni kilka. Ale pomimo całej żywotności,— każmy grób kopać. Umiera cal po calu. Nie znam dla niego lekarstwa.

— Oszuka kata!—mruknął marynarz. — Wielka szkoda! Co mu się stało rzeczywiście?

Pan doktor przybrał minę poważną, z jaką adept zwykł wtajemniczać ogół w swą wiedzę i obracając swą długą twarz do oficera, tak przedstawił stan konającego skwattera:

— Niewdając się w niezrozumiałe wam naukowe wyrazy, powiem, że złamał krzyż i nic go nie uratuje; głowa tylko, więc i umysł, zachowuje jeszcze pierwotną żywotność. Przytem nie doznaje cierpień... skończy bez bólu. Może być, że pociągnie w ten sposób kilka dni. Nie robi to zresztą najmniejszej różnicy, chociażby dziś skończył.. już rozporządził swoją własnością.

— Doprawdy?—wtrącił Busel, którego obchodziło żywiej to, kto odziedziczy stacyę, niż to jak długo jej obecny właściciel cieszyć się będzie życiem.—

Więc zrobił testament? Czy myślisz, doktorze, iż Dawid Bell dostanie stacyę?

— Nie dostanie złamanego szeląga, jeżeli się znajdzie spadkobierca wymieniony przez starego Bella.

Ponieważ wszyscy byli ciekawi imienia spadkobiercy, więc nie zwracali uwagi na intruza, który stał w samych drzwiach i wpatrywał się w lekarza, jakby chciał połknąć każde słowo z jego ust wychodzące. Był to nasz znajomy zpod cedru—Rozbitek. Miał postać mężczyzny, co dość dawno zostawił trzeci krzyżyk poza sobą, a na którego twarzy i skroni boje życia wyryły dobitne ślady. Przy oczach rysowały się głęboko zdradzieckie zmarszczki; w długich, ciemnych włosach świeciły gęsto białe pasemka; oczy nie pały już ogniem młodości; ich siwe źrenice straciły były dawno ów blask, co świadczy o energii, nadziei, wierze w los i w siebie. Najczęściej przebijał się na tej twarzy, starej nad wiek, wyraz apatyi, a czasem zjawiało się w owych źrenicach światółko, które ma obłąkanych cechować. Nie utrzymujemy jednak, iżby człowiek ten był waryatem, chociaż mieszkańcy Gulu dawno ogłosili go byli za dziwaka, który podejrzewał bliźnich, nikomu i w nie nie wierzył, wołał prawie do drzew, niż rozmawiać z ludźmi—zgoła, nie był praktyczną, prozaiczną istotą, pasującą do prozaicznego życia w osadzie.

— Czy wolno zapytać, doktorze — badał Busel, którego oblicze zdradzało większe wzruszenie niż twarz Rozbitka, może dlatego, że kupiec nie umiał panować w równej mierze nad swemi namiętnościami—o imię tego spadkobiercy? Musisz je wiedzieć; pewnie podpisałeś testament jako świadek, a może go nawet układałeś?

— Nie kazano zachowywać jego treści w tajemnicy. Starszy Bell zapisał stacyę, trzody i co tylko ma... a wiercie mi, że znajdzie się więcej niż sądziliśmy z jego prostaczego sposobu życia... wszystko co ma, tu lub gdziekolwiek, więc i kapitały w bankach w Sydney, — szanownemu panu Edwardowi Langtonowi, byłemu reprezentantowi Gulfu, niewiadomemu z pobytu, lecz prawdopodobnie znajdującemu się w Europie.

— Langtonowi! — krzyknął kupiec tonem wyrażającym zadziwienie i zawód. — Któż znajdzie tego człowieka, kto wie nawet, czy on żyje?

Nikt nie uważał, że mężczyzna w drzwiach zachwiał się, zbladł, omal nie upadł, a teraz drżał cały i zmienił się prawie do niepoznania. Można by rzec, że odmłodniał w mgnieniu oka o lat pięć. Oczy jego zaświeciły blaskiem, który przygasł był bardzo dawno; palce poruszały się mechanicznie, głowa wyciągnęła się, jakby z obawy utracenia choćby jednego słówka z opowiadania lekarza. Całe atoli to wzruszenie przeszło prędko, i nim doktor

zdobył się na odpowiedź Buselowi, górnik wrócił już do dawnej swej, doskonale obojętnej, postawy.

— Bell musi wiedzieć więcej o nim niż ktokolwiek inny. Przeglądając jego papiery, znalazłem mnóstwo gazet australskich i europejskich. W nich wyczytałem ogłoszenia, ofiarowujące nagrodę osobie, któreby przysłała Buselowi adres „szanownego“ Edwarda Langtona. Znalazłem także listy odpowiadające na te odezwy. Ze wszystkiego widzę, że Bell wierzy, iż spadkobierca się znajdzie.

— Zkądżeż, do tysiąca wichrów! upodobał sobie ten dyabelski korsarz jakiegoś tam obcego... Langtona, jeżeli się nie mylę?—pytał oficer, którego także zajęło dziwaczne postanowienie konającego, — wszak starzec ma krewnych. Dlaczego ich wydziedziczył?

— *Szanowny* Langton, *szanowny*,—mój poruczniku—poprawiał go doktor, który sam był przed laty posłem z jakiejś gminy australskiej i nie mógł ścierpieć, aby w rozmowie o równym mu dygnitarzu pomijano jedyny tytuł, jakim niektórzy Australczycy wyróżniają się zpośród ogółu.

— Niech będzie *szanowny*, a co lepiej, bogaty, jeżeli się sprawdzą twoje domysły o fortunie, która mu spadnie ni ztąd, ni z owąd, z krzywdą krewnych Bella.

— Bell ma tylko jednego krewnego, poruczniku... bratańca — wtrącił Busel.

— Bardzo zacnego chłopca, którego nienawidził właśnie z powodu jego uczciwości.

— A...tego bratańca nienawidzi nad wszystkich— dodał lekarz. Przypisuje mu swoje nieszczęścia. Chytry, stary lis nie przyznał się wręcz do niczego nawet na śmiertelnem łożu, ale dał mi do zrozumienia, że nieoględność tego bratańca rzuciła na jego dom pierwsze podejrzenie, które skończyło się waszą wizytą.

— Co się tycze szanownego Langtona — prawił dalej lekarz—Bell miał słuszne powody do wdzięczności, a nieznając nikogo stosowniejszego...

— Jego wybrał... rozumiem—rzekł porucznik.— Znałeś go, doktorze?

— Z opinii publicznej... Nie byłem w Edenie za jego czasów; praktykowałem wówczas w innej stronie kraju. Gdy zasiadałem w izbie, mówiono często o nim. Był to meteor, zjawił się na parę kadencyj i znikł. Młodziak, rodzaj samouczka, typ widywany tylko w kolonialnem, a zwłaszcza w górniczem społeczeństwie, którego traf obdarzył mieniem, a połykanie książek w sposób chaotyczny i obcowanie z ludźmi oswoiło z wiedzą i ogładziło. Typ ten nie posiada ani stateczności, ani równowagi umysłowej. Po wszystkim, czego tu doznał pojechał jeszcze do Europy szukać szczęścia. Zapewnie skończył, jak zwykle kończą ludzie podobnego usposobienia... był wielkim człowiekiem

w Gulfie, a sprytnym młodzieńcem w Sydney. Teraz prawdopodobnie wie dzie mu się źle w Europie — ciągnął dalej lekarz — więc milczy i przepadł bez wieści. Być może, że w istocie powrócił do Australii zruinowany i zrozpaczony i ukrywa się ze wstydu przed dawnymi znajomymi. Jeżeli taki los spotkał Langtona, żal mi go. Musiał on być coś więcej wart od zwykłej australskiej młodzieży, skoro stanął tak wcześnie tam, gdzie już był, i kusił się o więcej. Jego powodzenie w parlamencie w Sydney — dodał lekarz pompatycznie — było zadziwiające, hem, fenomenalne. Wiem z doświadczenia, że niełatwo zostać *primus inter pares*.

— Niech go licho weźmie! — mruknął kupiec, nie mogąc znieść pochwał, udzielanych człowiekowi, którego nie znał wprawdzie, ale do którego czuł żal żywy, bo ostatnia wola starego Bella, obdarzając Langtona stacyą, dla której Busel przeznaczał innych właścicieli, skrzyżowała długo żywione nadzieje. — Człowiek co nie umiał własnem rządzić, zmarnuje darowiznę — dodał. — Nie przysądzajmy mu jej zresztą, póki się nie okaże, czy żyje. A może się wcale nie zjawi...

— Ej, zjawi się — rzekł lekarz — Ludzie nie chowają się przed takimi spadkami.

Być może, iż p. Busel podzielał tą pewnością, albowiem przeniósł się do komórki pod werandą, w której jasne, niewieście suknie świeciły przez światelka w ciemnym kraju.

szpary. Zamknąwszy drzwi, wdał się tam w cichą, bardzo długą rozmowę ze swą córką, Gracyą Busel.

Mężczyzna, co stał był we drzwiach, wyszedł na świeże powietrze, zataczając się jak pijany, z głową spuszczoną, z zapłonioną twarzą. Musiał minąć cedrowe drzewo, gdyż tamtędy szła jedyna ścieżka ze sklepu do wioski. Zboczywszy z niej nieco w prawo lub w lewo, możnaby wpaść do dwudziestostosążniowego szybu, i to tem łatwiej, że burzany rosnące na krawędziach owej studni zakrywały ją oku. W takim szybie rozstał się już niejeden z życiem, jeśli ciemną nocą przechodził koło niego w stanie nietrzeźwym.

Niepowróciwszy jeszcze do swej normalnej obojętności, mieszkańcy Gulu przesiadywali częściej pod cedrem, niż wypadało przesiadywać biednym górnikom. Tym razem zgromadziła wszystkich wiadomość o nieochybnej śmierci Bella i dziwnym testamencie. Dokument ten był pisany wobec kilku świadków, a co doktor powiedział porucznikowi, to jeden z majtków powtórzył był przed chwilą na zebraniu pod drzewem.

— He! he! zrobił testament; zapisał stacyę Langtonowi—gderał Rekin.—Nicponie zawsze miewają szczęście. Na tej stacyi wypasa się z górą trzy tysiące bydła rogatego, koni nielicząc, a same rasy poprawne; każda sztuka warta najmniej pół uncyi złota. A teraz dom, płoty, grunta.

— A wory gotówki w bankach w Sydney?—do-
dał inny.—Głupstwo było! pieniądze grunt. Sta-
ry Bell miał ślizgie rzemiosło, ale intratne. Za-
pewne! usłał sobie ciepłe gniazdo na stare lata.

— Musi mieć pieniądze—zapewniał żeglarz, któ-
rego opowiadanie dało było powód do rozprawy.
Niebardzo wyraźnie on mówił, gdyż w tej chwili
włożył do ust pół cygara, które znalazł pod oknem
porucznika, i żuł swą prymkę zawzięcie. — Niech
mi oczy spuchną, jeżeli ten stary sknera nie mie-
szkał gorzej od psa kapitańskiego! W domu jego
jak u Busela; tylko piwnica wygląda po chrześci-
jańsku. Ile tam butelek! a wszystko dobry trunek...
spróbowaliśmy. Wzdłuż ścian niby w jakim skle-
pie... tu same marynaty, sardelki, łososie, tam
konfitury, a wszystko w znacznej ilości, i z Europy.
Stary dostawał to co miał z pierwszej ręki. Zna-
leźliśmy pół piwnicy próżnych puszek i butelek.
Jeżeli przyjmował złych gości, jak powiadają,
przynajmniej poił ich i karmił dobrze.

Słowa majtka wzruszyły boleśnie wszystkich.
Towarzystwo złożone z żeglarzy i górników, któ-
rych część jadała tylko suchary i pekeflejsz,
a druga część podpłomyki i chudą baraninę austral-
ską, zadumało się nad ponętym obrazem onej pi-
wnicy.

Jeden z górników wytrząśł fajkę o paznokcieć,
odkaslnął i zwrócił rozmowę na pierwotny temat.

— Patrzcie!—Langtonowi jeszcze raz uśmiechnęło się szczęście, a biedny Dawid poszedł pod koła. Są ludzie, którym zawsze się wiedzie, a bywają i tacy, do których licho lgnie jak pijawka. Rzućcie jednego do najpłytszego szybu w kopalni, a zwicnie nogę; inny wpadnie do najgłębszego, i powróci zdrów, z grudą złota jak czapka, którą przyślepiło sto osób, póki on guza nie nabił sobie na niej. Bogu wiadomo, że i Dawid Bell potrzebował pieniędzy.... gdyby chociaż stacyę mu zostawiono..!, Busel nie wpuści go odtąd do domu. Co tam będzie płaczu! — tu mówca zaśmiał się do brodusznie.

— Prawda! — Busel nie da córki urwiszowi bez szeląga.... on Szkot pełnej krwi i ceni ludzi tylko po trzosie.

— Komuż ją da?—zapytał Rekin poważnie, podziеляjąc ogólny interes w tej sprawie, gdyż ci ludzie podtatusiali, nieposiadający własnych rodzin, zadawali sobie nie po raz pierwszy, zagadkę: kto też się ożeni z jedyną panną na wydaniu w okolicy, w której Dawid Bell był jedynym młodym mężczyzną.

— Musi ją dać Bellowi, jeżeli nie chce starej panny z niej zrobić, albo aż za górami szukać kawalera—dodał Rekin.

— Oho!—odezwał się ktoś cierpko:—Cudze sprawy zawsze wam w głowie. Bardzo proszę, dłacz-

go-by ją musiał dać Bellowi, który nie ma ani pieniędzy, ani głowy do zrobienia pieniędzy? Ba! Gracya Busel znajdzie męża nie jadąc za góry.

— Zwaryowałeś!—fuknął zagadnięty, obracając się do Rozbitka, któremu wyrwały się z ust powyższe słowa. — Czy tobie doprawdy się roi, że Gracya Busel, duma Gulfu, pójdzie za ciebie, starszego o lat kilkanaście? Bell ma przynajmniej młode, zdrowe ramiona, kawał gruntu i będzie zawsze przystojnym, wesołym chłopcem, chociażby nawet ów Langton przyjechał i zabrał mu spuściznę.

— Kto wie czy tylko spuściznę straci ten wasz zachwalony Bell, jeżeli Langton przyjedzie,—mruzczał Rozbitek, rozjątrzony do wysokiego stopnia. Opamiętawszy się po chwili i przybrawszy pozę teatralną dodał:—Zresztą, pamiętaj waść, że imię „damy“ nie powinno być powtarzane na zebraniu mężczyzn, w miejscu publicznem.

— Ha ha! zaczynasz z *pańskiej* beczki, jak zawsze, kiedy chcesz nam pokazać różnicę pomiędzy statecznymi, dawnymi mieszkańcami Gulfu, a człowiekiem z wielkiego świata. Daj temu pokój, bratku, nie zwiedzisz nikogo! Nie dziwimy się też, że Gracya Busel wpadła ci w oko, choćby z wdzięczności. Salomon powiedział, że głębokie wody nie zgaszą miłości.

Rekin posiadał okrom zamięłowania w wódce i sporach, obfity zasób zdań biblijnych, któremi po-

bijał przeciwników. Wzmianka o Salomonie poskutkowała i w tym razie. Jego przeciwnik zamilkł—zaśmiał się tylko szyderczo i poszedł w swoją drogę.

— Co się stało temu człowiekowi?—pytał Rekin kolegów. — Patrzcie tylko jak on chodzi! Będąc w Sydney, widziałem panów w długich surdutach, co taksamo dreptali. Widzicie, jak trzepie po nogach pręcikiem, rusza rękami, niby kandydat, który przejeżdżał tędy przeszłego roku, i z beczki pod cedrem palnął nam oracyę, żeby dostać dwadzieścia kresiek z Gulu.

Rekina oko nie zawiodło go. Zgarbiony, głupkowaty przywłoka, zmienił zupełnie minę i postawę. Zdawało się, że łachmany wisiały na nim z gracyą płaszcza, którym żebrak hiszpański osłaniał swe członki, gdy w roli podupadłego *caballera* prosi innego *caballera* o jałmużnę. Co dziwniej, Rozbitek darował tegoż samego dnia *parcelę* złotodajną, w której pracował zwykle, najuboższemu górnikowi w Gulfie, zastrzegając sobie tylko parę uncyj złota za narzędzia i urządzenia na szybie. Była to najlepsza parcela w kopalni, dająca skromne ale pewne utrzymanie, a mogła starczyć i na kilka lat. Rozbitek sprowadził na nią wodę i po długiej, mozolnej pracy spożytkował to, czego się inni nie chcieli nawet dotknąć; pomimo, że tylko ich własne lenistwo przeszkodziło im w zajęciu tej

parceli przed nim, i eksploataowaniu jej w podobny sposób, wszyscy mu jej zazdrościli. Teraz brali mu za złe, że ją porzucił, i pytali siebie: z czego żyć będzie? Rozbitek nie kłopotał się jednak swemi interesami tak dalece, jak jego sąsiedzi, i nieprosząc nikogo o radę, nie wychodził ze swej norry. Mówiono nawet, że go nie było w domu.

IV.

Doktór Hutton, lekarz z Edenu, zasługiwał ze wszech miar na uszanowanie, jakim cały powiat odplacał jego uciążliwą pracę. Być może, iż za ceny eskulap pragnął mniej czci a więcej pieniędzy—lecz znaczna część mieszkańców jego powiatu nie miała pieniędzy. Nieraz, po dniu podróży do chorego, musiał zadowolić się podziękowaniem; ale nie pamiętano nigdy, aby doktor Hutton, który bardzo lubił pieniądze, nie chciał odwiedzić uboższego pacyenta choćby w najdzikszej okolicy. Za to nie omieszkał wyzyskiwać rzadkich sposobności, ile razy zamożny skwatter lub właściciel bogatego szybu potrzebował pomocy lekarskiej. Jego rachunki w takich razach bywały kolosalne. Nie darmo też zacierał ręce w obecnej chwili, i wytrwał jaknajdłużej w Gulfie, póki nie pochowano umarłego i oficer dla braku dowodów nie zaniechał śledztwa przeciwko żywym. Hutton odwiedzał chorego do ostat-

niej chwili, wiedząc, że spadkobierca musi zapłacić za fatygę, a po jego pogrzebie przedłużał, o ile mógł, śledztwo, biorąc w niem udział jako sędzia pokoju i licząc spore dyety rządowi. Nareszcie, niemając już żadnego pozorów do zostawiania w Gulfie, pomyślał o powrocie.

— Nie pamiętam czasów tak złych—mówił do Busselsa—odkiedy licho zagnało mnie do Edenu. Drugiego takiego kąta niema na świecie! Nikt tu nie choruje. Ubodzy kończą nagle, z głodu, z pragnienia, na koniu czy w szybie, czy skutkiem galopującej gorączki lub od insolacyi. Nim lekarz nadjedzie już biedaka niema i nie też po nim nie zostaje. Bogaci żyją jakby posiadali kamień filozoficzny. Mamy w Edenie kilku indyjskich emerytów... cierpieli na sto chronicznych chorób, gdy podawali się o emeryturę i prosili rząd o pozwolenie osiedlenia się w chłodnej części Australii dla poratowania zdrowia. Każdy z nich wprawdzie ma cerę nowego dukata, ale żyją i nie potrzebują lekarza, a rząd dziwi się ich długoletności i przysyła kommissye: czy kto inny nie pobiera pensyi nieboszczyków emerytów? Fatalny kraj dla lekarzy, słowo daję! Nawet jeżeli kto zachoruje w nim, nie idzie do doktora, ale leczy się pigułkami polecane mi w gazetach. Mogę siedzieć teraz w Edenie bez roboty do końca roku. Kto wie: kiedy drugi Bell

się nawinie? Muszę już jechać do domu. Poszlij po konia.

Parobek Busela poszedł więc w las, za rzekę, aby odszukać bucefała doktorskiego, gdyż zwyczajem australskim puszczoło zwierzę samopas z dzwonkiem u szyi, ufając jego stateczności, że nie oddali się nazbyt od osad ludzkich. Te kilka godzin postanowił lekarz przeczekać w sklepie Busela, gdzie pożegnał się z górnikami, którzy na wieść o wyjeździe ulubionego „doktora“ śpieszyli do karczmy, i podawali mu kolejno swe brudne, szorstkie łapy.

Na twarzy lekarza przebijał się wyraz niecierpliwości podczas tej operacyi, a gdy ostatni gość wyszedł z chaty, p. Hutton dał znak gospodarzowi, że pragnie pomówić z nim samnasam. Busel szepnął coś do swej córki i wymyślił dla niej jakieś zajęcie, dla którego musiała wsiąść na koń i popędzić w las. Ojciec i gość patrzyli za nią, gdy mijała odchodzących górników, którzy na widok jej salutowali, czego nigdy nie czynili przed mężczyzną. Gracya Busel była dla nich istotą nadludzką, jedynym powabnym przedmiotem w ohydny otoczeniu, — wyjątkowo żywą, moralnie zdrową i wesołą istotą pośród ogólnej melancholii: ich szacunek dla niej nie znał więc granic. Nawet ci, którzy skutkiem zajęć handlowych z jej niezawsze sumiennym ojcem, ganili własne serca, za to, że lgnęły do

córki, nie mogli wyszukać w niej błędu, ani zdobyć się na jakąkolwiek krytykę, okrom:

— Szkoda, że nie piękna!

Być może, iż dziewczę zasługiwało na tę krytykę wskutek dziwnego sposobu życia. Od dosiadania koni — najczęściej po mężku, pomimo zakazów ojca — ruchy jej przybrały męską rubasznosc. Jej cokolwiek ostre rysy szpecił ogromny kapelusz, przypominający krojem nakrycie głowy używane w innych krajach przez siostry miłosierdzia, tylko, że kapelusz Gracyi był jeszcze większym i brzydszym. Jej ręka nie znała nigdy rękawiczki, jej kibić gorsetu: słowem, Gracya nie wyglądała na „dame“; jednak powierznosc jej musiała mieć w sobie coś przyjemnego, jeżeli wolno o tem sądzić z zadowolenia na twarzy poczciwego lekarza, gdy śledził jej zwinne ruchy przy siodłaniu konia, gdy patrzył jak lekko go dosiadała. Pożegnał też odjeżdżającą przyjacielskim uśmiechem, a kupcowi powinszował dochowania się takiej córki.

— Podobno chcesz ją posłać do Sydney? — zapytał lekarz gospodarza zniemacka, spoglądając na niego przenikliwie. Ton, w którym powyższe słowa były wymówione — spojrzenie i twarz pytającego dowodziły, iż nie zapytał dla dogodzenia jedynie czezej ciekawości. Lekarz miał coś na sercu, a kupiec zrozumiał, że pod formą lekkiego pytania ukrywała się myśl ważna. Gość i gospodarz na-

leżeli do jednej narodowości, znanej z rozwagi: byli Szkotami. Rozmowa więc pomiędzy dwoma potomkami tak ostrożnego plemienia, gdy chodziło o interes poważny, a ich zdania i cele krzyżowały się, przypominała pojedynek pomiędzy bardzo biegłymi fehmistrzami, z których każdy szanuje biegłość swego przeciwnika i lęka się jej. Nareszcie starli się wręcz:

— Tak... hm —mówił Busel—widzisz sam, mój doktorze, że Gulf nie jest odpowiedniem miejscem dla dorosłej dziewczyny. Gracya zdziczeje tu. Mammy krewnych w mieście, którzy dawno chcieli się zająć ogładzeniem jej. A potem... mój kochany doktorze, nie mogę znieść myśli, żeby moja Gracya dostała się jakiemu rubasznemu górnikowi, co nie ma, albo drobnemu skwatterowi, u którego więcej długów niż owiec, albo któremu z waszych chłopów w Edenie, który potrzebuje żony na to, aby mu pomagała łamać kukurydzę.

— A mianowicie lękasz się jednego... nieprawda?

— Przypuśćmy, że masz rację. Nie potrzebuję obwiązać niczego w bawełnę. Zakazałem jej widywać się z tym Bellem, odkiedy... odkiedy...

— Od kiedy dowiedziałeś się o treści testamentu jego stryja. Przedtem było inaczej... co?

— Ach, któż mógł przywidzieć, że rzeczy wezmą taki obrót... fatalny obrót!

— Gdybyś był mnie zapytał, byłbym dawno przepowiedział to, co się stało. Pozwól sobie powiedzieć po starej znajomości,—a datuje się ona nie od wczoraj, i nie z tego kraju,—że puściłeś się na grę niebezpieczną, a nie poradziłeś się jedynej osoby, która mogła jej koleje obliczyć... mnie. Ten Bell, poczciwy do gruntu, prawy syn prawego ojca, zmęźniał pod mojem okiem; znałem jego stosunki rodzinne; wiedziałem, że między jego ojcem i stryjem zachodziło nieporozumienie. *Upior zatoki Twofold* umiał ukrywać przed światem swoje zajęcie, ale nie uszło ono oczu brata. Wiem, że odkiedy starszy odprzedał młodszemu swój dział w stacyi, nie widywał się z nim, ani wspomniął jego imienia. Był to najpoczciwszy człowiek w świecie...

— Wszystko to pięknie—wtrącił pan Busel niecierpliwie—ale nie zmienia mego widzenia rzeczy. Starszy Bell był najpoczciwszym i najniepraktyczniejszym z ludzi, a skutkiem prawości, nieoględnych spekulacyj, rzucania się w przedsięwzięcia górnicze, których nie rozumiał i t. d. zruinował się najzupełniej. Mnie się zdaje, że syn przypomina ojca, i prawością i niepraktycznością, i jak teraz nic nie ma, tak też nigdy nic mieć nie będzie.

— Przepraszam—przerwał lekarz zapalając się. Znam chłopca z innej strony. Jest w nim energia, i chęć dobra, a daj mu tylko szczęście... daj mu szczęśliwą sposobność... Nie przeczę jednak—do-

dał po namyśle — że potrzebuje pomocy, i rady, i oka czujnego. W młodym krew jak ogień, a dopiero jeszcze w naszej australskiej młodzieży, na tej spiekłej ziemi. Nasza młodzież ma coś z ognistości klimatu, z lekkości czystego, eterycznego powietrza, którem oddycha od kolebki. Nadaj tylko dobre przeznaczenie temu ogniewi...

Lekarz pochwyił w swym zapale jedyny guzik, spinający jedyny surdut, który pan Busel posiadał na świętek i piątek (mówiąc nawiasem, była to jedyna szata tego rodzaju w Gulfie, którego demokratyczni mieszkańcy nie znali odzieży, prócz kaftanów flanelowych o krótkich rękawach) i ciągnął kupca ku sobie, zdradzając swą natarczywość, życzliwość dla młodzieńca, którego był samozwańcym rzecznikiem. Dla wytłómaczenia jego zapału dodajemy, że młody Bell był faworytem lekarza przez kilka lat, które ojciec jego przeżył w Edenie, spożywając resztki mienia utraconego w niefortunnych przedsięwzięciach.

— Chcesz, żebym *ja* mu dał tę szczęśliwą sposobność—odparł kupiec tonem niezmiękczonego.— To być nie może, stanowczo nie może. Nie nalegaj na mnie dłużej. Znasz mnie, wiesz jak, kiedy i poco zabłądziłem do tego przekłętego kraju, jakie mam zamiary na przyszłość. Nie potrzebuję ci przypominać, że człowiek z wychowaniem, przyzwyczajony do cywilizacji, pamiętający inną pozycję, nie

zamknie się tu i nie będzie dorabiał pieniędzy dla— Dawida Bella! Nie podsuwaj—że mi takiego projektu—do stu piorunów!—zawołał, uderzając pięścią o bufet, że aż szklanki i butelki zadzwoniły.—Czyż potrzebuję ci opisywać dolę moją podczas długich lat w tej chacie? Rozejrzyj się po niej, przypomnij sobie, czy zawsze tak miewałem nad głową tylko nagi dach z kory! Oblicz, ile stałości wymagało życie *tu*, wśród tych dwunożnych zwierząt, targowanie się sto razy na dzień o cenę każdej grudki złotej, znoszenie ich przycinków, gdy byli trzeźwi, ich obelg, gdy się upili?

— Wistocie, podziwiałem zawsze twoją wytrwałość. Nie znam nikogo okrom ciebie, któryby odważył się naprawić w ten sposób nieprzezorną młodość.

— Naprawiłem ją... cokolwiek. Nie pracowałem bez zdobycia szczupłej nagrody. Gulf podupadł zresztą do szczytu i nie myślę tu bawić długo. Gdym zaszedł do niego, nie miałem nic, okrom pięciu palców, malutkiej Gracyi i silnych postanowień. Wszyscy podupadali tutaj, dobre czasy stawały się legendą; ale ja musiałem wytrwać, bo nie wiedziałem dokąd pójść dalej, a choćbym wiedział, nie miałem o czem. Jednak wydarłem sobie z tej poszarpanej, wyczerpanej ziemi—starość bezpieczną. Nienawidzono mnie za to; dziwiono się mojemu powodzeniu, wymyślano na mnie od „sknerów“;

ale ci, co nienawidzili i wymyślali, lękają się mnie, chociażby dlatego, że nie pojmują przyczyny mego powodzenia. Jestem dla nich maszyną parową, złożoną z woli żelaznej, pożerającą owoce ich pracy; niby węgle, maszyną, z której tajemniczą potęgą nie umieją walczyć. Wszystko robiłem dla *jej* szczęścia!

— A to wszystko nie uszczęśliwi jej rzetelnie, podczas gdy mógłbyś słówkiem...

— Nie i nie... Nie potrafiłbym zabezpieczyć ich losu od wszelkich możebnych wypadków, a nie widzę w Bellu przymiotów, któreby mi dawały rękojmię, że mu się powiedzie w życiu, chociażbym mu dał cokolwiek na skromny początek.

— Tu nie zgadzamy się. Gdyby był odziedziczył stację po stryju...

— A, gdyby! W tem „gdyby“ właśnie leży sęk. Nie przeczę, że mógłby zostać wtedy użytecznym, może znakomitym członkiem społeczeństwa. Sprawiloby to ogromną różnicę w mojem zapatrywaniu się na całą sprawę. Jestem człowiekiem praktycznym... nadewszystko!... Póki sądziłem, że młodzik ma przed sobą widoki niezależności, nie byłem przeciwny jego odwiedzinom. Być może, iż postępowałem nieostrożnie; ale przyjmując go jak stoi, przywiązałbym sobie i Gracyi kamień młyński do szyi—jego ciężar zatopiłby nas. Muszę też naprawić czempredzej swój błąd i wysłać ztąd dziew-

czynę poza obręb pokusy i niepokoju... W mieście zapomni, wstydzić się będzie swych wspomnień z pustyni—tych dzikich miłostek.

Nastąpiła chwilowa pauza. Lekarz nie nalegał dłużej, poznawszy się postanowienia, które ożywiało kupca. Raptem uderzył się w czoło i zawołał:

— Ale, ale! — zajmąwszy się młodymi, zapomniałem o najpilniejszym obowiązku. Wiesz, że Upior mianował mnie jednym z wykonawców swej ostatniej woli. Na mnie spoczywa powinność odszukania jego spadkobiercy, lub spadkobierców spadkobiercy.

— Masz wskazówki po temu?

— Niedokładne, bardzo niedokładne. Mówiłem ci, że już starzec rozpoczął był takie poszukiwania. Znalazłem obszerną korespondencję, której wynikiem była wiadomość, że osoba nazywająca się Langton, pochodzenia australskiego, opuściła pewien port europejski na okręcie *Dunbar*. Ten sam *Dunbar* rozbił się w tej oto zatoce. Utonięcie szypa i wielu z załogi i podróżnych; zaginięcie ksiąg okrętowych i rozproszenie się na wszechstrony tych, którzy ocaleli—nie pozwala powiedzieć stanowczo: czy ów Langton z *Dunbaru* żyje i gdzie się podział? Być może, że nie był tym Langtonem, o którego tu idzie. Pozostaje nam jeno szukać go za pośrednictwem gazet, a gdyby się nie zgłosił

Świąteczka w biernym kraju,

5

w pewnym terminie, zając się wynalezieniem najbliższych krewnych prawdziwego, „szanownego“ Langtona. Zrobię to z Edenu. Nim wyjadę ztąd jednak chciałbym pomówić z waszym Rozbitkiem. Zauważyłem coś dziwnego w postępowaniu tego człowieka zemną, odkiedy dowiedział się, jaką rolę przyznaczono mi w owym testamencie. Może on znał dziedzica i wie gdzie się obraca? Trzeba go wybadać.

Życzenie lekarza spełniło się bez trudności. Busel zaprowadził go do chatki z kłód skrzyżowanych pod dachem z kory, której umeblowanie kończyło się na nędznych przyrządach górniczych i łożu z trawy i liści na ziemi. Przed drzwiami płonął ogień, a górnik siedział we drzwiach, na kłodzie, załamawszy rękę wkoło kolan. Powitał on gości dość obojętnie i wskazał im siedzenie na drugiej kłodzie, przy ogniu. Lekarz zadał mu kilka pytań, zmierzających wprost do rzeczy. Rozbitek długo na nie odpowiedzi nie dawał.

— Czy nie możesz, czy nie chcesz odpowiedzieć? — rzekł nareszcie lekarz stanowczo — azali pomiędzy osobami na *Dunbarze* nie znałeś niejakiego Langtona? Utonął on czy nie? I jeżeli nie, w którą stronę się udał?

— Exekutorowie zapłacą wspaniale za taką informację — wtrącił Busel. — Zależy im na tem, aby wiedzieli: czy mają szukać owego Langtona, czy

też jego spadkobierców? Doktor Hutton nie wierzy w to, aby Langton, wymieniony pomiędzy passażerami *Dunbaru*, był tym samym Langtonem, którego znano w Gulfie. Ludzie charakteru niestałego, ambitni nad miarę zdolności, zmieniający często swe siedlisko, nie żyją długo. Kto wie czy nie wypada szukać prawdziwego Langtona na jakim europejskim cmentarzu, albo w więzieniu za długi, może nawet w domu karnym?

— Doprawdy?—rzekł górnik bardzo cicho i rozsmiał się szydyczko. — Więc myślisz, że Langton umarł lub skończył w kryminale? Ha, ha! Ludzie w jego wieku nie umierają i nie znikają ze świata, póki los trzyma dla nich tuza, w kształcie spuścizny po *Upiorze zatoki Twofold*. O nie! Wasz Langton ma w sobie więcej żywotności niż cała wasza żebracza gromada, i cały przeklęty, zakamieniały Gulf! Nie lękajcie się: znajdzie się on w potrzebie. Róbcie tymczasem swoje: poszlijcie testament do Sydney—niech go sąd potwierdzi; obliczcie spadek i wezwijcie spadkobiercę do wykazania tożsamości osoby i zapłacenia taksy urzędowej!

Lekarz otwierał oczy coraz szerzej i wpatrywał się coraz uważniej w mówiącego. Zanim odpowiedział otworzył usta kilkakrotnie, ale nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie zwalczył gwałtowne wzruszenie czy zadziwienie i, kładąc rękę na ramieniu górnika, zapytał:

— Sądziś więc, że znajdziemy prawdziwego Langtona, gdy go sąd zapotrzebuje...

— Jeżeli sąd wezwie szanownego pana Edwarda Langtona, a testament, wydziedziczający jedynego krewnego, jakiego Algernon Bell posiadał, utrzyma się...

— To nie podlega najmniejszej wątpliwości. Prawa Nowej Południowej Wallii dają najzupełniej testatorowi taką swobodę, z jakiej właśnie skorzystał Bell.

— Wtedy — ciągnął dalej Rozbitek, niezwracając uwagi na przerwę — znajdę waszego człowieka, Huttonie! — Rzekłszy to górnik wstał, obrócił się, schylił do miary poziomych drzwi i, skrzyżowawszy ręce na plecach, znikł w ciemnej chacie.

Lekarz i kupiec siedzieli jeszcze minutę na kłodzie, patrząc w siebie poważnie i wyrażając swoje zdumienie w półsłówkach.

— Ktoby się był spodziewał? — mruczał doktor.

— Na moje szczęście — szeptał kupiec — trakto wałem go zawsze bardzo grzecznie. W naszym zawodzie grzeczność nigdy nie zawadzi. Nie odmawiałem mu kredytu w nagłych razach. Cowieksza: Gracyi życie zawdzięcza.

Powróciwszy do chaty, czekali jeszcze długo na zjawienie się parobka, z koniem lekarza. Rozmowa z górnikiem wywarła na nich silne wrażenie. Każdy siedział w milczeniu, snując własny wątek

myśli i zamiarów. Gorączkowe ruchy Busela zdradzały, że umysł jego pasował się z ważnem zadaniem. Zobaczmy tymczasem, co porabiała Gracya Busel, w puszczy, dokąd nagie pagórki kopalni nie sięgały, a rosło morze zieleni, zwane dziewiczym lasem australskim.

V.

Dla Europejczyka, któryby pędził tropem dziewczyny, po ścieżkach wiodących wzdłuż owej rzeki, ścieżkach wązkich ale gładkich, bo deptanych codziennie przez tysiące bydła—które w regularnych przechadzkach do wody najpierwsze wydeptuje australskie drożyny—dla takiego człowieka widoki mijane obojętnie przez amazonkę przedstawiałyby sto nowych i zachwycających przedmiotów. Trawy, zielonej jak warzywo ogrodowe, było w bród, gdyż dżdżysta pora właśnie się skończyła. W każdej dolinie szumiał potok; rzeka płynęła wspaniałą powodzią, pagórki były ożywione czerwonym i srokatym bydłem, lub tabunami koni, które parskają na widok Gracyi, pędzącej konno, zabiegały jej drogę, towarzyszyły jej przez chwilę, nagle zadzierały ogony i pierzchały w dzikim popłochu; a usłyszawszy znowu szelest jej białego kapelusza, napowrót się zbiegały bliżej, coraz bli-

żej, stawały jakby do narady: czy jej pośpiech nie wróży im zapędzenia do stacy? Gdzieniegdzie płoszył jej koń stadko *kangurów*. Poczieszne skoki zwierząt, ich zatrzymywanie się, wspieranie na tylnych łapach i na ogonie, kiwanie przednimi łapkami, jakby dawały znak Gracyi, aby sobie dalej jechała i nie przerywała im popasu—wszystko to budziło uśmiech na twarzy dziewczyny, chociaż tysiąc razy już widziała podobne rzeczy. Kreniak kangurów, ale większy od nich i w ciemniejsze futerko odziany *wallaby*, ów mieszkaniec skał stromych, ukrywał się zaraz za głazy, skoro tylko spostrzegł niezwykły widok człowieka. *Wombat*, ryjący w ziemi nory szersze i głębsze od robót górników, skakał ociężale na dno swej jamy. W dalekich gęstwinach akacyowych brzęczał ptak *dzwonek*, którego głos przeklinał zapewne parobek, szukający po dzwonku konia lekarza. W krzakach nad rzeką milion jaskrawych papug, od wielkości sokoła do tuszy wróbla, swarzyło się z gołębiami, wołającemi: „ko-ko, ko-ko“! Płoszył je ptaszek *bicz*, wydając z gardziołka trzask podobny do trzaskania batoga. Wyniosłe eukaliptusy na wzgórku bielily się stadami wrzaskliwych *kokatów*, czernily tysiącem żarłocznych wron australskich, lśniących i całkiem czarnych na podobieństwo kruków. Niemniej liczne stado sępów unikało tej części lasu, poprzestając na szybowaniu w górnych sfe

rach błękitu, a to z obawy spotkania się z walecznymi wronami.

Wspomnieliśmy, że Gracya patrzyła na te osobliwości obojętnie. Koń amazonki, pędząc łagodnym galopem, właściwym dobrze ujeżdżonym rumakom owego kraju, i zagrzewany niecierpliwą rączką i nóżką, spotykał więcej powodów do wychodzenia ze swej obojętności, niż jego pani. Niekiedy strzygnął uszami, podrzucił łeb i skoczył w bok znienacka, a tak gwałtownie, że wyrzuciłby z siodła mniej wytrawnego jeźdźca. Gracya karciła go za ten wybryk prętem, i objeżdżała przedmiot przestרחu. Był to wielki wąż, czarny, brunatny lub w barwie perskiego dywana, wygrzewający na ścieżce, w słońcu porannem, swe ohydne sążniowe cielsko, grubości męzkiego ramienia. Raz zdarzyło się po takim skoku, że Gracya zatrzymała bieguna, albowiem przypadkiem najechała na *altanowych ptaków*, które urządziły sobie wspaniały salon, a raczej ogród. Otoczywszy znaczny obszar płotem, ocieniwszy część jego altanami z delikatnych gałązek, wygracowawszy w nim ścieżki, i ozdobiwszy te drożyny szpalerem z nadobnych kamyczków i muszelek, które naniósł od dalekiego morza, hasały w nim serdecznie. Dziewczyna przypatrywała się chwileczkę hecom i pląsom ptasząt, ich bawieniu się w chowanego po altanach, ich miłośnym pieszczotom, ale przypomina-

jąc sobie cel swej jazdy, wnet zacinała konia ostrzej niż zwykle, zostawiała ptaki poza sobą i pędziła dalej, wystraszając z trawy bażanty i psy dzikie.

Las gęstniał coraz bardziej. Zamiast rzadkich białych eukaliptusów, pomiędzy którymi rosła bujna pasza w pełnym świetle słonecznym, otoczył ją gęsty las z drzew o brunatnej, włóknistej korze. Ich pnie olbrzymie stały gęsto jak świece, nierozrastając się w konary dla braku miejsca. Były one o tyle zbliżone do siebie, że ich korony tworzyły nieprzerwane sito, sto stóp nad ziemią. Pomiedzy niemi wznosiły się pękate filary, tuszy ciała ludzkiego, uwieńczone kitą paproci, lub zielenią podobną do sitowia. W miejscu, w którym Gracya zaczęła zjeżdżać ze stromej góry do rzeki, las stawał się jeszcze posępniejszym. W dolinie stąpanie jej konia nie wydawało prawie odgłosu, na miękkiej, wilgotnej, napływowej ziemi. Las zmieniał się tu w chaos roślinny. W bujnej kotlinie nadrzecznej rozkrzewiały się olbrzymie, rozłożyste cedry, drzewa tulipanowe, mahonie i dzikie figi, powiązane siecią pasożytów, nakszałt masztów i rei okrętu. Kręta, wązka ścieżka, prowadząca przez tę gęstwinę, była widocznie wyciętą przez człowieka i kończyła się u chaty pionierskiej, z dranie i kłód. Część tego domu nie dźwigała dotąd dachu. Pionier wyrzucał właśnie z dwukołowego woza szerokie, gładkie płyty kory, dla uzupełnienia tego bra-

ku. Usłyszawszy tentent konia, wyprzągnął woły z woza i pośpieszył naprzeciw gościa, niepytając się nawet, kogo mu szczęście przysłało: dość, że był to człowiek, którego oblicze rozjaśni, choćby na godzinę, zmrok australskiego lasu.

Dziewczyna zwolniła kroku, wjechawszy na przestrzeń wyciętą wkoło chaty. Być może, iż uczyniła to z ostrożności, albowiem grunt był zawalony kłodami i gałęziami; może też wahała się: azali wypada najeżdżać mężczyznę i odludka. Zdawało się, że chciała zawrócić konia, lecz przeszkodził jej właściciel chaty, wyskakując zpoza pęku płonących gałęzi i chwytając jej cugle. Dziewczę zapłoniło się jak brzoskwinia, i pozwoliło młodzieńcowi zaprowadzić konia ku domowi, uwiązać go u wozu, i zdjąć samą siebie z siodła.

Powitanie było nieśmiałe z obu stron. Gość dał do zrozumienia gospodarzowi — z praktycznością ludzi, co w żadnej dobie nie zapominają o najlepszym przyjacielu — że wiązka paszy smakowałyby konikowi. Dawid Bell podjął z woza ciężki sierp wprawiony na długą rękojeść i pobiegł, kędy rosły bujne, soczyste kukurudze. Gracya poszła w kierunku chaty i usiadła przed nią, pod cieniastym mirtem australskim, który oszczędziła była siekiera, dla jego piękności. Rzeka szumiała tuż pod domem, podmulając wysoki, żółty brzeg i tworząc wiry u gałęzi *dębów*, czyli drzew śpilkowych,

o których już wspomnieliśmy. Rosły one w samym korycie rzeki, stojąc w lecie na suchych głązach, kąpiąc się w zimie w głębokiej wodzie. Świst ich gałązek bywa smutnym, jak brzęk arf eolskich. Plusk wody niemniej smutnym wydawał się Gracyi.

Otaczała ją jedyna własność wydziedziczonego—kawał lasu, na urodzajnej, napływowej ziemi, w pustyni. Ojciec Dawida nigdy nie mógł znaleźć kupca na nią, gdy sprzedawał trzodę po trzodzie, jedną koncesyję na wypaszanie trzód na rządowych obszarach po drugiej, aby mieć fundusz na niedorzeczne swoje przedsięwzięcia.

—Ktoby topił kapitały w kawałku lasu!—powiadali spekulanci — kiedy tyle innych przedmiotów znajduje się w kraju, które natychmiast dają odsetki od wyłożonych pieniędzy! Być może, iż ziemia takiego gatunku znajdzie kupców, gdy kraj się zaludni. Może się znajdą ręce do jej karczowania, gdy kopalnie upadną, czego nasze wnuki zaledwie się doczekają. Teraz nie ma ona wartości.

Spekulanci źle obliczali trwałość ówczesnych stosunków. Kraj zaludniał się prędzej, kopalnie upadały wcześniej, niż oni przewidywali. W górzystej, piaszczystej i skalistej krainie, nadającej się do pasterstwa wszędzie prawie, do rolnictwa tylko w wyjątkowych przestrzeniach, zaczęto poszukiwać ziemi zdolnej do uprawy—w porze naszego opowiadania. Dawid Bell byłby niez-

wodnie znalazł kupca na swój grunt, lecz go nie szukał, postanowiwszy zdobyć z niego własną pracą to, czego mu nie zostawiła nieogłębność rodzica i niełaska stryja. Walczył o byt niezawisły, bronią pioniera—siekierą.

Gracya usiadła w miejscu, z kąd mogła ogarnąć spuściznę Bella i obliczyć trudności jego zadania. Rozglądając się, widziała z trzech stron niebotyczne góry, zamykające kotlinę, okrytą lasem dziewiczym. Z jego-to olbrzymami postanowił walczyć młody pionier. Zdawałoby się, że zamiar podobny tchnął szaleństwem. Tu przestrzeń, gęstwina, ogrom, nieczułość dzikiej przyrody..... tam wątki człowiek, z drobnem narzędziem! Wprawdzie po stronie człowieka znajdował się rozum, wola, stal i ogień—musi on zwyciężyć ostatecznie: ale iluż lat zapotrzebuje na to? spytała siebie Gracya. — Jak mało zrobił od roku — myślała, licząc okiem pnie ściętych olbrzymów, i topiąc źrenice w niezliczonej armii drzew dookoła. Straszna nierówność! Pomyślawszy tak, poprawiła sobie szal w koło pięknej szyi i zadumała się. Serce jej biło dumnie, że młodzian zdobył się na hardą, wytrwałą walkę z niedostatkiem i z przyrodą, ale ta chata pozioma i ten las głuchy napełniły ją zarazem zwątpieniem. Gracya nie była sentymentalną panną, lecz pracowitą, praktyczną córką puszczy i twardego społeczeństwa. Wiedziała, że za kil-

ka dni opuści okolice, gdzie zamieszkuje biedak, którego pokochała. Przeczuwała zaś, że ten biedak nie potrafi zdążyć po nią na czas i przywieźć jej do domu. Prawdopodobnie nie ujrzy go już więcej!... Piers jej zadrżała od tego przecucia, a na ramię zaświeciła łezka.

— Panno Gracyo! szepnął młodzieniec, stojący nad pochyloną dziewczyną.

Gracya zerwała się i stanęła wyprostowana, ale odwróciła cokolwiek główkę, ażeby szerokim kapeluszem zasłonić łezkę, dopóki jej nie osuszy wietrzyk od rzeki. Gdy tak stali naprzeciw siebie, tworzyli niezły obrazek dwóch typów: australskiej dziewczyny i parobczaka.

Gracya nie była piękną, lecz znaleźmy mnóstwo mniej powabnych twarzy i form, które posiadały wielbicieli. Jej ciemne włosy przybierały w słońcu rudawy połysk. Brwi rysowały się w ciemnych, śmiałych, prostych liniach na niskim, szerokim czole. Zpod brwi patrzyły poczciwe, duże oczy. Jej rysy były ostre i męskie, jak wspomnieliśmy, z ustami zaciśniętymi i brodą cokolwiek wyskakującą, ale surowość takiej twarzy łagodził, w obec Dawida Bella, uśmiech, który znaczył ją dołkami. Gracya była milutką z tym uśmiechem. Prawda, że jej twarz szpeciły drobne piegi; pochodziły one tylko z narażania się na piekielny klimat, bo jej pełna szyja zaświeciła rozkoszną

białością, gdy szal z niej opadł. Zresztą była Gracya niskiego wzrostu; jej ręce i nogi moglibyśmy krytykować, ale oko zatrzymywało się raczej na rozwiniętej kształtnie nadobnej postaci, której nie psuła skromna, lekka sukienka. Doktor Hutton nazwał był raz Gracyę „kieszonkową Afrodytą“; mówił, że zdałaby się na dobry model, tylko, że Australia nie miała artystów i nie potrzebowała modelek.

Wysmukły, jasnowłosy Dawid Bell okazywał w swej powierzchowności wszystkie cechy przypisywane młodzieży urodzonej w Australii. Przyroda przeznacza to plemię na nowych Arabów, w nowej krainie słońca, więc nie buduje ich na wzór barczystych, ciężkich rodziców europejskich. Jego stawy poruszały się luźno, jak na sprężynach. Jego długa budowa posiadała gibkość, kosztem siły. Wolno-by go nazwać laskonogim. Europejczycy nazywają rodowitych Australczyków „Łodygami kokurydzowemi“. Bell strzelał od ziemi jak łodyga kokurydzy lub trzciny cukrowej. Nie krytykujmy jednak zbyt surowo jego postaci: w oczach Gracyi, jedynej osoby, którą obchodziła powierzchowność młodzieńca, był on Antinousem.

Teraz przemówił do niej bardzo nieśmiało i z wymuszoną obojętnością, właściwą mężczyznom w krajach, gdzie odwiedziny kobiety są rzadszemi od wizyt aniołów. Witał ją tonem, w jakim byłby

ją powitał na werandzie, w domu jej ojca, wobec wszystkich mieszkańców Gulu.

— Panienska odważyła się na tak trudną jazdę? I trafiła do mego domu? Czy zaszło co nowego w Gulfie? Co sprowadziło panienkę? i... i uszczęśliwiło mnie... bardzo! Ach, jak miło zobaczyć tu gościa, a jeszcze takiego gościa!.. taka wizyta pokrzepi mnie na rok pracy. A mam jej tu i na dłużej.

— O, aż nadto—westchnęła dziewczyna, patrząc na niego z politowaniem. Jej spojrzenie było bardzo wymowne, ale młodzieniec nie śmiał go zrozumieć.

— Panienska nigdy nie widziała mego gruntu? Mam go sporo, od wody po górę. Zmierzyłem go sam podług mapy w Edenie. Przejrzałem ją zaraz po owych wypadkach...

— Jakich wypadkach?

— Gdy ojciec umarł i pokazało się, że wszystkie działy w przeklętych szybach, którei oszukiwał siebie i mnie do śmierci, nie były warte jednej stopy tego gruntu. Wtedy też i stryj zakazał mi nawet mówić do siebie. Już ojca nienawidził, a mnie jeszcze bardziej. Jakieś nieszczęście chciało, żejechałem do stacyi z nowiną o śmierci jego brata, nieboszczyka ojca mego, właśnie wtedy, kiedy *Dunbar* się rozbił. Nie widziałem wiele, a co widziałem, tego nie rozumiałem na razie. Dopiero

przed kommissyą, gdy zaczęli pytać, a podsuwać tłómaczenia, pojąłem co się święci. Oj, miałem wtedy całe piekło w głowie! Nie wiedziałem czy mówić, czy milczeć... tak kazało sumienie, owak raziła obawa o honor rodziny. Milczałem. Podobno źle zrobiłem. Swoją drogą wydziedziczył mnie.

— Nie mów pan o tem, i mnie boli twoje nieszczęście.

— Śmiałym się z tego wydziedziczenia. Biorę Boga na świadka, że zostając przy stacyi, którą rząd dał dziadowi za pocziwe usługi, użyłbym każdego grosza tego dziedzictwa na jakiś cel dobroczynny, żeby zmyć hańbę z naszego nazwiska. Będzie to wieczna zakąła; będzie się wieszać koło mnie do śmierci, jak żałoba, gdybym miał dzieci, wypominanoby im w starości, że w rodzinie był zbrodniarz. Nikt nie zrozumie, jak ciężkim jest krzyż splamionego imienia, jak jedna istota może zamrozić przyszłość pokoleń,—kto sam tego nie doznał. O, gdyby nie to, byłbym rad z kawałka lasku, pracowałbym i szukał szczęścia, jak inni młodzi!

— Zaklinam, nie mów o tem... to straszne. Nikt nie gniewa się na pana za winy stryja. Potem, mam tak mało czasu. Mówmy o czem innym.

— Czy panienka wiedziała—rzekł on po chwili, tłumiąc swe wzruszenie — gdzie mój grunt leży i chciała zobaczyć... mnie—tu pochylił się nad nią

tak, że oddech jego poruszał jej włosy — czy tylko zabłądziła tu przypadkiem?

Gracya zarumieniła się i odrzekła:

— Znam każdą piędź ziemi w okolicy. Łatwo mi było trafić,—i chciałam trafić.

Słowom tym towarzyszyło przełęcznione i wyzywające zarazem spojrzenie; ale chociaż młodzian pomyślał, że na żadnym obrazku w illustrowanych gazetach (jedynem źródle, z którego młodzież Ede-nu czerpała swą znajomość piękna) nie widział takiej twarzyczki, nie ośmielił się jednak na podanie ręki Gracyi. Gdy ruszyła z miejsca, szedł przed nią, usuwając troskliwie z jej drogi chaos gałązek, które tworzyły zwiędłą gęstwinę nad ściętymi drzewami. Gdy weszli do chaty, przysunął niezgrabnie ławę. Zwykła jego nieśmiałość wzmogła się, gdy porównał swój dom barbarzyński z *nią*, którą pragnął widzieć jego bóstwem. Ruchy Dawida były więc śmieszne, ale słowa zacierały złe wrażenie ruchów.

— Niech panienka usiądzie choć raz w moim domu. Będzie on odtąd wyglądał weselej... ozdobi go wspomnienie.

Gracya usiadła i zaczęła mówić bez związku o widoku na rzekę. Pytała go o szczegóły gospodarstwa. Dawid Bell nie odpowiadał na pytania; być może, iż nie rozumiał słów, napawając się tylko

Światelka w ciemnym kraju.

6

ich dźwiękiem. Przestała mówić, a duszną ciszę karczowiska macił tylko szum wody, skrzyp dębów, brzęk Dzwonka, gwar Kakatów i chrzęst paszącej się chudoby. Para nieśmiałych kochanków, spotkawszy się samnasam pierwszy raz w życiu, nie mogła się zdobyć na rozmowę, chociaż i jego i ją tłoczyło brzemie, które przez wyznanie go tylko ulżyć sobie mogła. Nareszcie on przemówił:

— Tak dawno już chciałem spotkać panienkę nie przy ludziach, zwłaszcza tutaj, i opowiedzieć jej...

Gracya zbladła i zadrżała lekko. Co on chciał powiedzieć?

— Opowiedzieć jej moje plany: w jaki sposób zamierzam wydrzeć byt z tej pustyni. Postanowiłem zmyć hańbę z mego imienia pracą i uczciwością, a może stanę się godnym społeczeństwa ludzkiego.

Usta dziewczyny, zwykle wyrażające nadmiar energii, zacisnęły się jeszcze zacięcej. Jego wstyd fałszywy, jego nedorzeczna zgryzota zaczynały ją gniewać. O, gdyby była mężczyzną, mogłaby przemówić pierwsza, zmusić go do wyznania! Postanowiła przyspieszyć rozwiązanie.

— Ach, nie mamy czasu na to wszystko!—jęknęła prawie. — Za kilka dni odsyłają mnie do ciotki, w Sydney. Ojciec chce się także przenieść do miasta, skoro wyprzeda co zostaje w sklepie. Kto wie

kiedy się zobaczymy, a... a nie mogłam wyjechać bez pożegnania: więc chociaż nie wypadało... Coby też ojciec powiedział, gdyby zgadł, jak skorzystałam z wolności! — A teraz muszę się śpieszyć—do dała, wstając i wychodząc z chaty powoli. On towarzyszył jej, ale milczał, usta jego drżały jednak, a palce były bardzo zimne, gdy pomagał jej na ganku włożyć ów ohydny kapelusz. Gracya zgadywała zapewne, jaka walka toczyła się w jego sercu i wybaczała milczenie. Młodzieniec przyprowadził konia, ale nie pozwolił jej dotrzeć go jeszcze.

— O nie, nie — zawołał zarzucając cugle na ramię i prowadząc konia — niech panienska przejdzie moją własność od końca do końca. Czy nie wygląda dziko i strasznie?

— Będę jednak myślała o niej, chociaż mnie zawiozą do pięknego miasta.

— A ja będę pracował jak niewolnik, żeby ją zmienić...

Tu się zaciął. Gracya znów zaczynała się niecierpliwić. Co ją obchodziły plany, z których dla obojga nie mógł wyrosć niezwłoczny pożytek? Kto wie: czy nie pragnęła, aby ją przycisnął do łona, i zupełnie inny projekt przedstawił, mniej chwalebny, ale wiodący do celu prędko i nieomylnie? W kraju tak szerokim, w społeczeństwie niedbajacem o pozory i zwyczaje, gdzie młodej, zdrowej

parze przyszyłoby łatwo zniknąć, pobrać się, zdobyć byt, mogli uciec, a ucieczka tego rodzaju niktogo by nie zgorszyła. Nikt-by nie pytał, w jakim powinowactwie stoi Dawid Bell z *Upiorem zatoki Twofold*. W takim kraju wahanie się młodzieńca mogło dziwić i gniewać energiczniejszą dziewczynę. Już doszli do drzewa, naznaczonego wielką strzałą, wyciętą w jego ciemnej korze, aż do białego łyka. Był-to słup graniczny, z pyszną koroną zieleni, kwiecia i ptactwa.

— Gracyo — zdobył się nareszcie nieśmiały kochanek, podając jej wodze konia—zostaw mi iskierkę światła w zmroku puszczy. Podjąłem się bardzo trudnej, żmudnej pracy, ale pokonam ją łatwiej i prędzej, jeżeli mi powiesz, że pracuję dla ciebie. Gdybym wiedział, że kobieta, którą kocham, zapomni ojca i wygodę, i przyjmie mnie, skoro będę mógł ofiarować jej własne, skromne ognisko...

Nie ośmielamy się analizować serca niewieściego do tego stopnia, aby powiedzieć stanowczo: czy te wahające się, warunkowe oświadczenia nie rozgniewały Gracyi na razie? Powtarzamy jeszcze raz, że w naszym mniemaniu, Dawid Bell mógł zdobyć łatwiej półdziką amazonkę, wybawiającą topielców z morza i upędzającą się po lasach za kochankiem, niż, po trupach drzew niezliczonych, zyskać ziemię dostateczną do uprawy. Jeżeli jednak jego nieśmiała ostrożność wydała się jej na

razie pogardliwą, namysł pokazał szlachetność jego charakteru. Gracya nie odpowiadała nigdy bez namysłu: dzikie otoczenie uczy nawet młode dziewczęta ważyć swoje słowa. Opierając się o niego, by dosiąść konia, szepnęła:

— Będę cierpliwą, choćby do śmierci.

— Więc kochasz mnie—pytał on, zatrzymując ją w uścisku i wpatrując się w opaloną twarzyczkę, jak w cudowne zjawisko.

— Kocham... ale muszę śpieszyć do domu. Puść mnie... pisuj... nie mów dłużej. Co oni w domu pomyślą sobie o mnie?

Pomimo tych zaklęć nie wrywała się bardzo gwałtownie; może chciała usłyszeć coś więcej. On tylko schylił się i wycisnął na jej ustach długi pocałunek. Wielki kapelusz zasłaniał ich twarze, całus był bardzo cichy, jednak szpiegowski *ptak-osioł*, filantrop, kręcący się zawsze po lesie australskim śladem ludzi, jakby nie mógł żyć bez ich towarzysztwa, musiał coś zmiarkować, bo zagdał i zaśmiał się wesoło na gałęzi. Młodzieniec podsadził dziewczynę na konia i szedł przed nią, wiodąc go pod górę. Gracya nie mogła jechać prędko, póki-by jej nie wyprowadził na szczyt, idący równoległe z rzeką, w kierunku Gulu. Zostawało im jeszcze dziesięć minut czasu, który przepędzić mieli z sobą. Mówili mało, unosili się jakby w rozkosznym śnie. Bór zdawał się pełnym światła i wo-

ni... stracił swój chłód i ponurość, stracił ów silny, niemiły zapach eukaliptusów, przypominający mięte. Drożyna rozszerzała się czasem; młodzieniec szedł wtedy obok dziewczyny, a ich gorące dłonie dotykały się i mówiły wymownie. Dzieci prozaicznego kraju zapominały też o praktycznej stronie swego położenia.

— Skoro skończę chatę—mówił on—i spalę korczowisko, wezmę się do sadzenia kartofli, dyni, i jarzyn. Górniczy w Gulfie rozchwytają warzywa... dadzą za nie ostatnią drachmę złota. Odkiedy mieszkają tam, nie kosztowali takich specyałów. W ten sposób przebieduję do przyszłorocznych deszczów, i zbiorę pieniądze, aby nająć dwóch lub trzech robotników, chociażby na miesiąc. Nie poznałabys mego gospodarstwa, gdybym miał taką pomoc! Zasadzilibyśmy cały korczunek, wycięlibyśmy tyle, tyle lasu! Daj mi raz dwóch parobków na miesiąc, a nie lękam się o przyszłość. Na przyszły rok mógłbym nająć czterech, a za rok później urządzić się zupełnie i...

— Pozwolę na jeszcze jeden rok — zaśmiało się dziewczę.

— A potem rozejrzę się w pagórkach koło domu. Część tych pagórków także do mnie należy. Z początku myślałem, że nie zdadzą się na nic. Ot, wczoraj dopiero przypatrzyłem się im bliżej, szukając wołów, które, jak na złość schowały się,

gdy robota była pilna... filuty! Gracyo, mnie się zdaje, że w tych górach jest złoto. Wyglądają kubek w kubek, jak nieboszczyk ojciec opisywał Gulf, zanim go poryli górnicy. Są tam góry jak głowy cukru, całe okryte czerwoną gliną, a gdzie kwarc się pokazuje; widziałem na nim śniedź i różne barwy... nie był mleczny, jałowy. W jednym strumyczku widziałem czarny piasek, a skały szły na poprzek wody, jak listwy... łupek świecił wszędzie błyszczkiem. Wprawdzie górnicy z Gulu przetrzęśli całą okolicę, lecz na naszym gruncie nigdy nie szukali tak skrzętnie jak na rządowym. Od wczoraj wierzę jak w Pismo Święte, że mam złoto u siebie. Skoro tylko uwolnię się od innej pracy na jakie parę tygodni...

— Nie puszczej tylko ptaszka z ręki dla złotego snu— wtrąciła praktyczna towarzyszka.

— O nie, nie! Pamiętam przykład nieboszczyka ojca!

Stanęli na wyżynie, w pełnym słońcu południowym, które oświecało padół na rzekę, że wyglądał naksztalt szlaku z agatów i szmaragdów. Jego środkiem toczyła się rzeka turkusowa. Młodzieniec przyciskał namiętnie do ust rękę kochanki. Nie mógł jej puścić. Nie umiał oderwać się od niebiańskiej czary, szumiącej napojem miłośnym: ledwie skosztował, a już mu ją odbierano. Tkliwa Gracya litowała się nad nim i pocieszała go jak

umiała, schylając się z konia często i bardzo, bardzo nisko. Nawet ptak filut nie widział ich ostatniego pożegnania. Odbyło się ono cicho, w solennej ciszy puszczy. Jeszcze raz... i dziewczę puściło konia całym pędem, a pionier zbiegł do zapomnianych wołów.

Przed nią i przed nim migały sny złe,—nie o prozaicznym pyle, którego płukaniem, wydmuchiowaniem i ważeniem Gracya trudniła się często; nie o ciężkich ziareczkach i grudkach, których istnienie w jałowej części swego gruntu Dawid Bell podejrzewał—ale złote sny poezyi, owe upajające marzenia miłości, owe różnobarwne widzenia przyszłości niewinnej i rozkosznej, w ustroniu, ręka w rękę, do dnia ostatniego!

Raz tylko podobno zjawia się w takim kraju i takiej parze jasnowłosa, różanopalczata bogini Helikonu i każe im oderwać oczy od prozy codziennej, i pozbawia umysł zwykłej ostrożności, i ciska urok ułudy na przyszłości perspektywę. Jakoś to będzie — szepczą — miłość przygładzi grudę na wspólnej drodze. Poddając się pokusie, złudzeni, padają sobie w objęcia. Tymczasem mieszkanka uśmiechniętej Hellady złąkła się widoku ponurej Australii i uleciała. Złudzeni budzą się do nudów samotności, do uciążliwych, prozaicznych obowiązków, życia wpółdzikiego, krwawej walki o byt

smutny, ze straszną przyrodą. Ich życie w ciemnej krainie równa się długiej nocy, nawiedzanej mnogimi zmorami, którą raz tylko, i na chwilę, oświeciło jedno światełko.

VI.

Koń doktora Huttona nie zjawił się był jeszcze, gdy Gracya powróciła już do domu. Rodzic jej nie ochłonał był jeszcze dotąd ze wzruszenia, jakie wywołała w nim rozmowa z górnikiem, więc nie zapytał jej: czemu tak długo w lesie bawiła? Gracya zresztą sama usunęła mu się z oczu; przygotowała śpiesznie południowy posiłek — na szczęście, uczta w Gulfie nie wymagała długich przygotowań, gdyż praca kucharki polegała na robieniu herbaty, którą biesiadnicy zapijali twarde suchary i zimne mięso — nakryła stół i wezwała do niego obecnych mężczyzn. Przy obiedzie panowało milczenie jak w refektarzu, a nim obiad się skończył, zarżał koń długo szukany. Stał już przed domem. Lekarz nie dojadł prawie, tak mu było śpieszno do domu. Konisko mógł być pewnym, że do wieczora odpokutuje poranną swawolę. Hutton był człowiekiem ostrożnym i nie lubił dybać po nocy do Ede-

nu. Z Gulu nie było drogi do tej miejsciny, okrom białych znaków na drzewach, często stojących od siebie w takim oddaleniu, że jeździec ledwie mógł dojrzeć następny znak, stojąc pod najbliższym. Doktor dawno się otrząsał z podróżami wzdłuż tak zwanych „znacznych linii“ i ufał im za dnia. Po zmierzchu drogoskaz tego rodzaju na nic się nie zda, a lekarz nie znał się wcale na australskiej astronomii. Konstellacye, zastępujące leśnikom busolę i drogę, były dlań nieużytecznymi. Mając tak ważny powód do pośpiechu, pan Hutton pożegnał śpiesznie gospodarza i jego córkę, uściskał rękę kupca, pogłaskał Gracyę po jagodach, wsunął w łapę parobka kilka pieniążków, wdrapał się na siodło, i znikł za kopcami hałdy.

Busel wciągnął córkę do sklepu i potraktował ją długą przemową, w której wtajemniczył ją w swoje domysły o rzetelnem nazwisku Rozbitka. Gracya nie słuchała nawet dalszych uwag ojca i nie domyśliła się do czego zmierzają jego napomnienia, aby wlała jeszcze więcej serdeczności w serdeczne już i tak obejście w towarzyskich stosunkach z człowiekiem, którego lubiła i przyjmowała przyjacielsko, chociażby dlatego, że jej przypominał własne bohaterstwo. Chociaż jednak wzruszenie, zadziwienie i tysiąc planów krzyżujących się po jej głowie,—nie pozwoliły jej zrozumieć rad rodzicielskich, zapewne mądrych ze światowego wi-

dzenia rzeczy, jeżeli zważymy, z czyich ust wycho-
dziły, powzięła ona sama właśnie takie postano-
wienie, jakie jej zalecał kupiec. Tak kazały jej
działać najgorętsze żądze, jakie kiedykolwiek mio-
tały sercem ludzkim. Jakże łatwo mógł przypad-
kowy spadkobierca spuścizny, którą Dawid Bell
postradał, urzeczywistnić owe sny, których speł-
nienie w innym razie nie mogło nastąpić przed
upływem lat i zależało tylko od wytrwałości jej
kochanka! Pan Busel byłby się jednak zmartwił,
gdyby mu wyjawiała była także i powody swego
postanowienia.

Busel był człowiekiem rozsądnym i wychował
córkę rozsądnie, na swój sposób, więc wzruszenie
i zabiegi dla wyzyskania przyszłych wypadków
nie pozwoliły mu zapomnieć o bieżących obowią-
zках, Kto żył w Gulfie musiał pracować dziesięć
godzin na dzień. Parobek poszedł więc do roboty,
przy jednym z wielkich szybów, w którym z roz-
kazu pana próbował szczęścia. Pomagał on tam
kompanii górników. Był to szyb, z którego ze-
brano już niegdyś cudowne żniwo, a niedobitki
Gulfu wierzyli, że blisko niego ukrywa się dotąd
skarb równy słynnym bogactwom Niebelungów:
Ztąd zdarzało się przynajmniej raz w rok, że brali
się do opuszczonego szybu, marnując i własną pracę
i pomoc udzielaną przez kupca. Busel wiedział je-
dnak, dla czego im pomagał. Nie przykładał on

najmniejszej wagi do ich nadziei, lecz zmiarkował, że przedsięwzięcie tego rodzaju ściągało do Gulfu gromadki górników rozsiane po tej części kraju. Ludzie tego rodzaju przypominają graczy w ruletę. Wiadomość, że ktoś gra o wielką wygraną, elektryzuje ich; nie umieją się oprzeć pustej ciekawości. Przychodzili też Bóg wie z kąd, jeżeli usłyszeli przypadkiem, że jaka dobrze wyekwipowana partya próbuje jeszcze raz szczęścia w Wielkim Szybie, w Gulfie. Nieraz przesiadywali tygodniami w koło tego szybu, czekając lada chwili wieści z pod ziemi, że trafiono na zatraconą już żyłę. Wieść ta nigdy nie przychodziła, ale zbiegowisko zwracało kupcowi jego udział w spekulacyi i to w kilkakroć: Busel wyprzedził niemal wszystko, co tylko miał w sklepie. Były to odpusty australskie na cześć Złotego Cielca.

Znalazłszy zatrudnienie dla służącego, kupiec zabrał się do naprawiania i przerabiania starych narzędzi, kupowanych za parę groszy od górników, a sprzedawanych drogo w poprawnej formie. Gracya poszła do szopy opisanej poprzednio, zwanej kuchnią. Tam zabrała się do bardzo prozaicznej roboty. Prawda kronikarska każe nam jednak wyznać, że dziewczica obdarowana złotym medalem przez Towarzystwo Humanitarne zanurzyła ramiona po same łokcie w wielkiem korycie z kory. Koryto było pełne mąki. Słowem, Gracya miesiła podpło-

myk australski, wielkości koła u woza. Jest to powszedni chleb tamtejszych mieszkańców; pieką go zwykle tylko raz na tydzień, żeby mieć jaknajmniej kłopotu—a spożywają w tak wielkich ilościach, że tylko przy pomocy pigułek Hollawaya — połykanych całemi pudełkami—trawić go mogą.

Operacya udała się Gracyi wybornie. Placek wsunął się w rozgarnięty żar, bez pęknięcia; nie brakło zimnego popiołu, żeby go oddzielić od ognia. Nakryła go. W godzinę wyszedł ze swego gniazda bez jednej plamki spalenizny. Kucharka otrzepywała go właśnie pękiem zielonych gałązek, gdy pomiędzy nią a zachodzące już słońce wsunął się cień człowieka. Podniosłszy oczy, zobaczyła znaną i pożądaną osobę.

Był to Rozbitek, który podchodził teraz do Gracyi jeszcze nieśmielej i niezgrabniej niż niedawno Dawid Bell. Skradał on się formalnie do niej, jakby do zakazanego owocu, a minę miał pokorną, nakształt poddanego, zanoszącego do tronu petycyę, o rzecz trudną do spełnienia. Zadziwiło Gracyę, jego dzisiejsze postępowanie, gdyż bywało swobodnem zwykle, zwłaszcza przy niej. Zauważyła także ze zdziwieniem, że jej przyjaciel przebrał się po miejsku—jak się ubierali komiwojazerowie-Niemcy i t. p. osoby, zjawiające się niekiedy w lesie, nakształt komet. Wydawali się oni Gracyi śmiesznemi istotami. Górnik, ubrany we-

dług takiej mody, w odzież kupioną zapewne w Edenie i zupełnie nową, wydawał się jeszcze śmieszniejszym. Dla uzupełnienia elegancyi, miał na palcu pierścioneł, którego nie widziała od chwili, gdy tą samą ręką trzymał się grzywy jej konia. Słowem, Rozbitek wyglądał popańsku. Z tem wszystkiem, i chociaż był pierwszym magnatem w okolicy, ujął Gracyę swą skromną nieśmiałością.

— „Pańskość nie psuje go“—pomyślała.

On zaczął o pogodzie, sposobem wszystkich nieśmiałych, i podał jej rękę.

— Czekaj pan — zawołało dziewczę filuternie; zaczynając kampanię, której plan ułożyła.—Muszę otrzepać mąkę z palców.—Uczyniwszy to, ścisnęła jego dłoń żywo i ośmieliła go tem.

— A czy godziło się nie być tak dawno u nas? Kto słyszał zaniedbywać przyjaciół? — dodała. Ktoś nam mówił, że nie widziano pana już od kilku dni....

— Byłem w Edenie—odparł. — Teraz chcę zajrzeć do stacyi... do stacyi, która należała do Bella.

— „Ho!—pomyślała Gracya.—Nie mógł wytrzymać dłużej, bez przypatrzenia się swojej własności.“

— Przeszedłem więc prosić pana Busela—dodał górnik—żeby kazał parobkowi przewieźć mnie.

— Parobek w szybie. Nic to nie szkodzi. Wiosła leżą w czółnie od rana, i nie pierwszy raz będę

przewoźnikiem. Nawet konie umiem pławić za czółnem. Tak, tak!

Chwyciwszy szal i kapelusz, dziewczyna zbiegła do rzeki, a przyszły jej pasażer poszedł za nią w milczeniu. Nad wodą spierali się: kto ma robić wiosłami?

— Nie pozwolę!—protestowała Gracya, śmiejąc się i odbierając mu wiosła. Woda rwie strasznie, a podobno z pana zły żeglarz.

On usiadł więc u rufy, wprost wiosłarki. Czółno odbiło od brzegu i pomknęło w długiej, ukośnej linii z mętnym wartem. Ostrożność nie pozwalała ruszać się, ani mówić podczas przeprawy, póki nie wpłynęli na cichą wodę, która tworzyła wielki, łagodny wir, ocieniony poważnemi drzewami.

— Nie pamiętam takiej wody—mówiła wiosłarka.—Wszystkie śniegi w Białych Alpach musiały stopnieć.

Pasażer nie odpowiadał, zapatrzywszy się na dziewczynę. Ruch silniejszy zesunął kapelusz jej z głowy i rozwiął włosy, a twarz jej ożywiła się rumieńcami. Jeżeli Gracya podobała mu się kiedykolwiek, to w tej chwili musiała wydawać się zachwycającą.

— Nie żałuję wcale, że nie zastał zwykłego przewoźnika — rzekł Langton. — Ton jego głosu, ogień w oczach uderzył dziewczynę. Podniosła wiosła i przestała pracować. Wir chwycił łódź

i począł nią obracać powoli, cicho. Dziwna rzecz, że oboje wpadli na myśl, by skorzystać z tego wiru, w pewnych zamiarach—tylko, że każde z nich zmierzało do czego innego.

— I ja nie żałuję—odparła wiosłarka.—Bardzo, bardzo mi chodziło o chwilę rozmowy. Pan mi nie weźmie za złe jednej małej prośby, nie prawda?

— Czyż mogę brać pani za złe jakąkolwiek prośbę, albo odmówić pani czegokolwiek? Czyż nie pamiętam....

— Cyt!—nie mów pan o tem. Nie lubię pochwał. Tak nakazywał zrobić obowiązek. Najlepiej mi pan odpłacisz tę przysługę, swój znowu obowiązek spełniając.

— Ah, przypomnienie tego rodzaju nie zawadzi mnie—bąknął Langton, jakby w sumieniu swem rażony, że niezawsze spełniał swe obowiązki.

— Nie mamy prawa wkładać się w pańskie zaufanie. Wszystko nam jedno, dlaczego nie chcesz się dać poznać w Gulfie; ale powiem panu po starej przyjaźni, że ojciec i ja znamy pana, a muszę—muszę mówić do pana, jak do osoby, co może wiele dobrego uczynić.

— O, nie chciałem się taić przed wami. Chodziło mi tylko o to, żeby nie rozgłosiło kiedyś, jak żyłem tu.... rozpacz strąca nieraz bardzo nieszczęśliwego człowieka w ciemnym kraju,

ko—dodał ciszej—i wstydzimy się przypomnieć takiego upadku.

— Nie mów pan nic. To mnie nie obchodzi ani kruszynki. Ojciec i ja cieszymy się, że kłopoty pana się skończyły. Zawsześmy panu dobrze życzyli — mówiła syrenim głosem, dyplomatyzując z wrodzoną zręcznością kobiety—traktowaliśmy go.

— Wyjątkowo.

— Nie, ale po ludzku, jak pan zasługiwałeś.

— Nowy powód, żebym nie śmiał odrzucić żadnej prośby.

— Żądam bardzo mało. Nie proszę, żebyś wyrzekł się swego dziedzictwa. Kto widział świat, ten nie zechce zapewne mieszkać na pustyni; będzie wolał żyć w mieście....

— A, rozumie się!—zawołał górnik z pompatycznością, która czyniła niekiedy tego człowieka bardzo śmiesznym i przypominała spłowiałą szatę na podupadłym elegancie.—Cóżbym tu robił? Ho, ho, w pierwszej bitwie ze światem nie miałem powodzenia, bo liczyłem tylko na zdolności umysłowe. Te niezawsze wystarczają; talent nie oliwa: idzie czasem na dno. Ale gdy przypadek zaopatrzył mnie w broń, która nigdy nie zawodzi, gdy mam dźwignię, co wszystko porusza na tym świecie, pieniądze....

— Użyjesz ich,—rozumie się. Pójdiesz pomiędzy równych sobie, rozumnych i bogatych. Jak-

żeż łatwo będziesz mógł naprawić złe, które mimowolnie wyrządziłeś. Dawid Bell, nieszczęśliwy Dawid Bell...

— O!—krzyknął Rozbitek, rzucając się jakby go wąż ukąsił. Jego nieszczęście nie pochodzi z mej winy; nie znam go, nie mam powodu wyrzekać się na jego korzyść...

— Nikt też tego nie żąda. Ależ to prawy, młody, energiczny człowiek! Będziesz potrzebował rządcy na stacyi. On zna okolice, zna się na gospodarstwie, zasługuje na zaufanie. Dopomóż mu... dla mnie.

Mężczyzna drżał jak liście nad rzeką; długi czas nie mógł ani przychylić się do prośby, ani spełnienia jej odmówić. Nareszcie zapytał:

— A co potem?

I ona nie odpowiadała. Czuła, że przejrzał jej zamiar nawskróś.

— Cyt... wysłuchaj mnie cierpliwie—szeptał on, przyklekając w łodzi, i kładąc ręce na jej rękach.—Nie chcę go krzywdzić. Jest tam dość dla nas obu. Chcę tylko wiedzieć, stanowczo, raz na zawsze, czy warto mi powracać do człowieczeństwa, zostać czem byłem, czem powinienem być. O, wiesz dobrze, iż niezawsze byłem zaniedbanym, rozpiętym żebrakiem, co z dnia na dzień wygrzebywał swoją jałmużnę z parceli w Gulfie. Ty jedna może ze wszystkich odgadłaś to dawno. Czu-

ję w sobie zdolności, siły..., nie wszystko zgasło... teraz mam pole do rozwinięcia ich. Nie wdam się w opowiadanie czem byłem, czego chciałem dopiąć, dlaczego upadł, i co teraz zamierzam. Takie opowiadanie nie dla wiejskiej dziewczyny. Możebyś go nie zrozumiała. Wybacz moją szczerłość.

— Kto wie czy nie?—przerwała obrażona Gracya, rumieniąc się.—Wiem bardzo mało o świecie, ale pozwólcie mi choć raz spróbować, azali was nie rozumiem. Ojciec, doktor Hutton, pan, zgoła wszyscy uczeni mężczyźni, których spotykam, powtarzacie zawsze jedno: — Ej, nie zrozumiesz tego! Dlaczego panowie nie uczycie mnie, abym mogła was rozumieć? Ach, nieraz chciałabym się uczyć i podnieść się do was, a zawsze zbywacie mnie w dwojaki sposób: młodzi chwalą moją twarz, starsi mówią, że ich nie rozumiem. Czy panowie traktujecie tak wszystkie kobiety?

Langton nie uważał, ile naiwnej filozofii tkwiło w jej pytaniu, bo drżał z uczucia. Odparł więc tylko:

— Gdybym chciał wytłómaczyć swoją przeszłość, musiałbym się wdać w długą historję. Taką historję nawet dziewczyna z puszczy łatwo zrozumie, ale nie miałyby z niej pożytku. Zresztą, nie należy ona do rzeczy. Dość, że odkiedy pamiętam siebie, zawsze pragnąłem, czego nie posiadałem. Tak wczesnie uśmiechnęła się mi fortu-

na i stanowisko! ale zawsze patrzyłem wyżej, sięgałem po coś, czego mieć nie mogłem. Ludzie śmiali się ze mnie, mówili, że posiadam nedorzeczną ambycję i niestałość, że jestem idealistą szukającym, czego nikt dotąd nie znalazł, choćby był królem połowy świata.... pozycyi, w której mógłby sobie powiedzieć: to odpowiada moim zdolnościom, tu mi dobrze, nie pragnę niczego. Nigdy jej nie znalazłem. Zawsze widziałem coś obok niej, a lepszego, a tak blisko... tylko rękę wyciągnąć. Jeżeli zważyłem co mam, z tem, czego pragnąłem, własne wydawało się tak lekkim, tak bardzo lekkim, że rzucałem je na stół bez wahania, w grze o lepszy los. Szczęście długo sprzyjało, a gdy oszukało, i gracz stracił wszystko.... owoce tylu lat, tak dziwnych kolei.... omal nie oszalał. Przeżył to, przeżył, ale.... upadł haniebnie.

Gracya w istocie nie rozumiała tego wszystkiego; ale dźwięk głosu, twarz zapłoniona wstydem i gwałtowne ruchy mówiącego wywierały na nią efekt osobliwy. Słowa nie miały dla niej znaczenia, lecz pojęła, że to był jęk rozpaczonej duszy, serca skruszonego, i że nadeń wzbijał się głos intelligencyi i siły, co ukrywały się w popiołach ale nie zgasły, owszem, czekały podmuchu i wołały do kogoś o pomoc. Człowiek klęczący przed nią, nie był już w jej oczach pośmiewiskiem Gulfu, nadętym, zruinowanym pijaczną. Niestety, nie

czuła dla niego takiej sympatii, aby się domyślić mogła, że ona tylko jedna zdolna była go podnieść, i że do niej właśnie ręce wyciągał. Odpowiedziała więc sucho:

— Prawda, że musiałeś pan żyć źle, z poziomymi ludźmi, w naszym nędznym Gulfie. To nie odpowiadało potrzebom pańskiego ducha. Dzięki Bogu, teraz możesz odmienić to wszystko, a cieszę się, że chcesz i samego siebie odmienić. Jeżeli mogę ci pomódz w tem....

— Mówiłem, że mnie nie zrozumie—wzdychał Langton, opuszczając jej rękę i uderzając się w czoło.—Chciej mnie pojąć Gracyo! Dzisiejszy wieczór jest chwilą przesilenia w mojem życiu, taką chwilą, jaką widziałeś przy łożu twego ojca, gdy go doktor Hutton leczył na śmiertelną gorączkę. Byłem graczem, i mogę tylko usprawiedliwić się przysięgą, że grywałem o wielkie stawki. Raz przegrałem bardzo, bardzo wiele, zwątpiłem o sobie, pomyślałem, że przegrał ciało i duszę, stałem się takim, jakim mnie poznałaś. Nawet wtedy nie przestałem pożądać czego nie miałem, i o ile zdawało się, mieć nie mogłem. Odkiedy podałaś mi rękę w tej strasznej fali, znalazłem nowy ideał. Od ciebie, która dałaś mi życie, mam prawo wymagać pomocy. Uczyn' to życie znośnem! Podaj mi jeszcze raz rękę.... na wieki.

Usta jej drżały. Zaczynała go rozumieć. On dalej błagał:

— Żądam twej miłości. Kochałem cię od pierwszego spotkania. O tyle starszy od ciebie, tak pogardzony, śmiałem pragnąć twej miłości. Rzecz dziwna, że nigdy przedtem, w gorączkowym życiu, nie pożądałem miłości kobiety! Nigdy żadnej nie kochałem, oprócz ciebie, Gracyo.

Znów nastąpiła cisza. Nie umiem tak czytać w sercu kobiety, aby poznać: azali pokusa nasunięta przez bogatego, namiętnego człowieka, zamąciła spokój Gracyi choćby na chwilę. Być może, iż Gracya wahała się, nie wiedziała czy przyjąć, czy odrzucić ofiarowaną świetność, i porównywała dom na stacyi, trzody i wygody, które dotąd uważała za szczyt dostatku i komfortu, z chatą bez dachu, w dolinie. Być także może, iż roiły się przed nią widziadła miasta, murowanych domów, powozów, miękkich sprzętów, które Busel opisywał wymownie, jako najwyższy cel pracy i ambicyi. Jeżeli ważyła swoje uczucia z poządliwością mienia, pamiętajmy jakie społeczeństwo ją wychowało i nie bierzmy jej tego za złe.

Langton mówił wciąż, coraz ciszej, raczej monologując, niż zwracając się do niej:

— Czytałem, że wszyscy mężczyźni, co albo nigdy nie kochali, albo doznali zawodu, doświadcza-

ją między trzydziestym i czterdziestym rokiem życia rodzaju babiego lata. Pierwsze lato zawiodło ich, nadzieje młodsze wygasły, nadzieje doczekały się tragicznej śmierci; sądzą już, że serce zamarło. Oczekują zimy. Wtem uczuwają powrót ciepła, łagodniejszego, więc i przyjemniejszego ciepła. Widzą, jak nadzieja zakwita raz jeszcze bledszem kwiecien.... mogą kochać raz ostatni. Zdaje się, że sprawdzam tę zasadę na sobie. Czy napróżno, Gracyo? Czy chcesz być moją żoną?

— Domyśliłam się, że do tego zmierzasz — szepnęła dziewczyna, jeszcze się wahając, i chcąc zyskać na czasie.

— Nie sięga po ciebie żaden ubogi, pogardzony, śmieszny awanturnik. Nie, ofiaruje ci miłość człowiek zamożny, inteligentny, który umie kochać inaczej, niż tu pojmują miłość, którego dzielność wszyscy pamiętają, a upadek nie będzie nikomu znanym. Czy możesz się jeszcze wahać!? Ten człowiek wart więcej od Dawida Bella.

Langton przedstawiał dotąd swą sprawę dość zręcznie. Teraz dopuścił się jednego błędu: skrzywdził rywala przed sędzią, którego można było przekupić, ale nie w taki sposób. Błąd ten był fatalnym. Gracya nie mogła ścierpieć, żeby *jego* lekceważono.

— Ale ja *jego* kocham — wymówiła, niemyśląc nawet co mówi — popatrzyła na towarzysza wylę-

knioną źrenicą, spuściła oczy i zapłoniła się; zdawało się, że jej strach własnej śmiałości. On puścił jej ręce i padł bezwładnie w rufę łodzi. Wir wciąż pędził czółno w majestatycznym, cichym walcu.

Australia nie posiada długich, rozkosznych szarych godzin, których tkliwą potęgę czują europejskie serca. Zato miewa ona pyszne zachody. Ilekroć razy, pomimo surowego sposobu życia, stawaliśmy na szczycie pagórka, i wpatrywali się z wyżyn północnej Australii w fantastyczne obłoki, w ogniste niebo, pyszny Ocean Indyjski, i słońce zatapiające się w kobaltowej toni! Ilekroć razy zachwycała nas luna, gdy zdawało się, że świat płonie, a niebo oblewało fioletową barwą Góry Błękitne, lub odbijało się różowym blaskiem na Śnieżnych Alpach!

Taki-to zachód słońca był świadkiem zakłęb, wymówionych w owej łodzi. Przed ostatnią odpowiedzią, słońce błysło w gałęziach i zgasło. Ciemność nie pozwalała Gracyi wyczytać z bladej twarzy towarzysza: jaki skutek wywarły jej słowa? Korzystając z jego milczenia, ruszyła wiosłami, aby dobić do brzegu.

— O nie, nie — zawołał on chrypliwie, ale stanowczo.—Powróćmy do Gulu. Nie chcę być już na stacyi.

Instykt kobiecy szepnął Gracyi, żeby nie sprzeciwiała się złamanemu, nieszczęśliwemu konkurren-

towi. Łódź przebyła jeszcze raz wart i uderzyła o drzewo, u którego ją zwykle uwiązywano. Zanim dziewczyna wyskoczyła na brzeg, towarzyszy położył rękę na jej ramieniu.

— Panno Busel... Gracyo!—mówił śpiesznie.— W całej Australii nie spotkasz człowieka z większą ambycją, z lepszem szczęściem w życiu. Gdybym tylko miał podporę, o którą błagam... tę oto rękę. Daj mi ją, na miłość Boga! Jest to mój ostatni ideał: bez niego życie nie ma wartości; dla niego, tylko dla niego, pragnę mienia i pozycyi. Zostań moją żoną! Nie odbieraj mi ostatniego celu życia, ostatniej nadziei szczęścia.

— Panie Langton— odparła stanowczo. — Nie kocham pana, kocham innego. Nie mogę pójść za pana. Jeżeli ta nieszczęśliwa miłość pańska pochodzi z mojej winy... może byłam zalotną... uczynię wszystko byle ci osłodzić zawód... tylko nie to... jestem związaną... kocham... przyrzekłam.

— Ah, dla własnego szczęścia nie myśl o tym. To napróżno. Jest to czeza miłość; nigdy nie dojrzeje. Ojciec nigdy się nie zgodzi na nią.

— To zawisło od twojej woli — rzekła błagając. — Bądź sprawiedliwym, miej litość nademną, zrób o co prosiłam, nie mów ojcu, żem cię odrzuciła,—a przystanie.

— Od mojej woli? — mruczał Langton, pochwy-

ciwszy tylko pierwsze jej wyrazy i zastanawiając się nad niemi, bez względu na resztę.—Ej, dziecię, nie czytałaś filozofów! Co jest wola? Kto jest panem swej woli? Wiemyż rzetelnie czego chcemy? Nie jesteśmy automatami tysiąca okoliczności i bezwiednich popędów? Czy między temi instynktami nie bywa bardzo potężną miłość, a najpotężniejszą.... nienawiść.

Ton jego znów zniżył się do monologu:

— Stawia mnie między Scyllą i Charybdą... między honorem, wdzięcznością, sprawiedliwością a miłością szaloną, nienawiścią, wściekłą żądzą zemsty nie do zgaszenia. Jest-żem panem mej woli.... chociażbym ją miał.... gdy wspomnę, że właśnie wspaniałomyślność odda ją innemu?

— Nie rozumiem, tego! — wołała dziewczyna, czerpiąc w rozpacz siłę i zręczność do kontrowersyi.

-- Wiem tylko, co doktor Hutton powtarza. Jeżeli sumienie powiada, mężczyźnie czy kobiecie, zrób tak lub owak, nie wolno obliczać następstw. O, bądź sumiennym sędzią! Bądź wdzięcznym! Nie zmuszaj mnie, abym przeklinała najpiękniejszy swój uczynek! Nie rób Dawida Bella żebrakiem; jego, wydziedziczonego, ponieważ nienawidził zbrodni! Wiem już, co znaczy pokusa, jakie rady szepeczą namiętności, ale dojrzały, rozumny mężczyzna winien łatwiej przemódz to wszystko, od

biednej, nękaney dziewczyny. Pomóż mi, żebym i ja nie upadła pod moją pokusą!

Langton puścił ją, chcąc zastanowić się nad jej słowami. Gracya zarzuciła wiosła na ramię i pospieszyła do domu. On stał jeszcze w łodzi; zasnawszy kapelusz na oczy, myślał. Nareszcie poszedł w swoją stronę. Noc była bardzo ciemna; gwiazdy zginęły za obłokami; wiatr dał przenikliwie od zatoki, a w ich sercach huczała piorunowa burza. Kto wie jednak, czy owej nocy nie błysnął dla obojga promyk światła.... dla niego jasność wzdłuż drogi honoru, dla niej iskra nadziei, że człowiek co tak ją ukochał, nie będzie okrutnym. Nawet zapytał siebie: czy nie mogłaby zmienić celu swej miłości? Ah, w tym względzie nikt nie jest panem swej woli!....

Zobaczyła go nazajutrz. Edward Langton zapukał do sklepu bardzo rano, prosząc Busela o pożyczzenie konia do Edenu. Kupiec nie posiadał się z radości, że może służyć dawnemu, dobremu przyjacielowi. Pytał: czy nie potrzebuje pieniędzy? Górnik konia tylko potrzebował, a gdyby nie wrócił, przyrzekł odesłać go przez posłańca.

Trudnoby zdać sprawę z przewrotów psychicznych, z pobudek świadomych i bezwiednych, które wpłynęły na wolę pesymistycznego górnika. Dość, że w kilka tygodni później zbiegł się cały Gulf, aby wysłuchać pod cedrem bardzo ciekawego

listu, przywiezionego przez umyślnego posłańca, aż z Sydney. Pisał doktor Hutton, do pana Busela, z prośbą, aby doręczył drugi list w tejże kopercie Dawidowi Bell. Oprócz tego dodał on w *post-scriptum*, że Edward Langton znalazł się, stawił w sądzie, i formalnie, w swoim i spadkobierców imieniu, odrzucił spuściznę po Upiorze Zatoki Two-fold. Cały świat mówił i wszystkie gazety w Australii drukowały, że znany z excentryczności, szanowny Edward Langton, były poseł z Gulfu do Izby Niższej w Sydney, zjawił się po wielu latach zmarnowanych w Europie, aby uwieńczyć sławę *dziwaka*, odrzuceniem ogromnej spuścizny, której źródłem było korsarstwo; dla gryzipiórków australskich bowiem nie było majątku, któryby mógł być złym, choćby miał źródło najgorsze, a odkiedy kapitan Phillips ¹⁾ przywiózł pierwszą monetę do Botany-Bay, żaden jeszcze Australczyk nie odrzucił tego, co mu los w rękę wcisnął. Wszystkie koła wyborcze zgodziły się też na to, że nie mogłyby uznać Edwarda Langtona za kandydata przy zdrowych zmysłach, gdyby pragnął wejść po raz wtóry do parlamentu....

Potrzebujemyż dodawać, że rozjaśniło się niebawem i w ciemnej stacyi nad zatoką?

¹⁾ Pierwszy gubernator w Botany-Bay.

VII.

Przenieśmy się do innej części Australii, za górami, bardzo daleko od Zatoki Twofold. Tam Murray, płynąc ociężałym nurtem, po długiej pielgrzymce od Śnieżnych Alp, po zbrataniu się z Darlingiem, co wyssał ostatnią kroplę wilgoci z pól kontynentu, i niesie mu wieści prawie od Indyjskiego Oceanu, rozlewa się na limanach, zanim zniknie w morzu. Szerokie równiny złocą się niezmiernymi łanami pszenicy, a żniwiarki warczą pół dnia, zanim objadą własność jednego rolnika. Pomędzy temi majątkościami znajdują się mniejsze gospodarstwa, poświęcone rozmaitym plonom, a pagórki przy samej rzece mają się winnicami. Tam mieszkają w wielkich kamiennych domach, w dworach malowanych i w poziomych chatach z dranic, ludzie nieinteresujący się gorączkowemi zajęciami sąsiednich krajów. Są to koloniści Południowej Australii, rolnicy bez wyjątku, a przo-

ważnie nie-angielskiego pochodzenia. Najwięcej Niemców mieszka w tych stronach, lecz znajdują się także ludzie z innych krajów europejskich.

Pomiędzy opisanymi gospodarstwami stał dom wygodny, w pojęciu australickim, z tarcic malowanych jaskrawo, z dachem blaszanym, i obszernymi stajniami i spichrzami. Formę domu psuły klatki i dodatki, dobudowane do niego. Snadź rodzina właściciela mnożyła się, jak wypadało na dobrych kolonistów, a dla pomieszczenia jej, zapominano o wszelkim wdzięku budownictwa.

W istocie, mieszkali w nim dwie liczne rodziny, rodzonych braci. Dom wrzał zwykle życiem, lecz w dniu dzisiejszym, w środku żniw, było w nim cicho. Kto żył, musiał pójść w pole. Nawet Benjaminek, syn młodszego brata, pomagał ściągać snopy zpod żniwiarki. W dworku zostały tylko dwie niewiasty; jedna była bardzo sędziwa i bardzo zgarbiona, ale żwawa jeszcze, drugą, wolnoby nazwać młodą, chociaż nie była w pierwszej młodości. Rumieniec spełzł z jej twarzy; może niekoniecznie skutkiem lat — niktby jej bowiem nie wziął za matronę.

Staruszka i stara panna, rozmawiały mową rzadko używaną w owych stronach. Dom był w zupełnym porządku, żenicy odebrali podwieczorek, do wieczery zostawało parę godzin: kobiety mogły więc usiąść przy piecu, i pilnując, żeby chleb

włożony do niego, nie przypalił się, odpocząć godzinkę. Jak zwykle kobiety, gawędziły. Jeżeliby kto od lat dawnych podsłuchiwał ich gawęd, mógłby potwierdzić nasze świadectwo, że samnasam rozmawiały zawsze o jednym przedmiocie. Dziwaczki—nie umiały zapomnieć!

— Zawsze pragnął ptaka na dachu — mówiła matka właścicieli domu.—Ptaka na dachu! którego nigdy nie dostanie. Zły, zły chłopiec.

— Ej, matko—reflektowała ją towarzyszka, żywym tonem, jakby ujmowała się za ganionym.— Nie mówmy już o jego wadach. Ah, gdybyśmy przynajmniej wiedziały czy żyje!

Dla wytłómaczenia o kim mowa, powiemy zwycię, że dom należał do wdowy, która miała trzech synów, nakształt wdowy w bajce. Położenie jej było o tyle podobniejszem do owej bajecznej wdowy, że jeden z nich wyrodził się od braci. W najmłodszym wieku głaskali go niektórzy sąsiedzi po głowie, i mówili, że był mędrszym od tamtych, i że go nie minie ostatecznie ów wielki garnek dukatów, który zawsze dostaje się najmłodszemu w bajce; inni znów potrząsały znacząco głowami i przepowiadali chłopcu zły koniec.

Tamci bracia byli o wiele starsi od niego, gdy ojciec ich odumarł, i wzrastali nietylko w bojaźni Bożej, ale w wielkiem zamięłowaniu do szerokiego łąnu, dojnych krów, targu w Kapundzie—mieścinnie

powiatu — tudzież znajomości *felerów* końskich. Chętnie chodzili w drellichu, utkanym w domu, strzelali do papug z fuzyi ojcowskiej, niepragnąc kosztowniejszej rozrywki, słuchali matuli, która trzymała ich dość krótko, i dopuszczali się wybryków tylko wieczorem po targu, gdy zamiast powrócić do domu, zaglądali przez okno do wielkiej karczmy w Kapundzie; przeczuwali tylko, że w męzkim wieku będą musieli marnować tesame wieczory przy kufu lekkiego piwa, lub murrayskiego wina, w tejsamej karczmie.

Inaczej miała się rzecz z najmłodszym. Przyroda zasiała w jego duszę ziarno, które operowało nakształt drożdży od lat niemowlęcych. Starsi mężczyźni na krępych, barczystych parobków; on był szczupły, z twarzą wydłużoną, z oczyma patrzącemi daleko. Matka i bracia nigdy nie umieli go uspokoić, ani zadowolić. Staruszka powtarzała, że niemowlęciem będąc, wciąż wypadał z kołyski, rwąc się do wszystkiego, co świeciło w izbie. W chłopięcych już latach napierał się zawsze do Kapundy; wnet zachciało mu się do Adelaidy, stolicy kraju. Nic go tak nie bawiło, jak obrazki miast i widoków bardzo ludnych. Matka często też mruzczała słowa, które przytoczyliśmy powyżej, że mu się zachciewało ptaka na dachu, że był złym chłopcem. Te wyrazy weszły jej w nałóg. Czowała jednak słabość dla najmłodszej sierotki. Zre-

Swiatełka w ciemnym kraju.

8

szta, chociażby jej nie czuła, nie umiałaby złamać jego charakteru.

Chłopak wyrwał się raz ni ztąd ni zowąd, gdy go posyłano po krowy będące na pastwisku, z następującą uwagą:

— Matko, mnie potrzeba dobrej edukacyi.

— Święci, ratujcie!—zawołała matka, załamując ręce.—Kto cię nauczył takiej zachcianki?

— Ksiądz proboszcz powiedział w szkółce. Już mnie tam nauczyli co sami umieją, a ksiądz mówił, że mi potrzeba dobrej edukacyi, że mnie szkoda na chłopca, i że w Kapundzie jest wielka szkoła.

Więc bracia upędzali się za krowami, orali, doglądali żniw, żeby tylko Edward mógł pójść do szkoły w Kapundzie. Po kilku latach i to nie wystarczało: chłopiec musiał pojechać do Adelaidy, do bardzo już wysoko stojącej szkoły. Matka żegnając się z przestachu, ile razy synek powracał na wakacje, w mieskich sukniach, w jaskrawym krawacie ze złoconą spinką, z wyuzdanym językiem i głową nabitą projektami. Przywoził piękne książki i medale... nagrody! Matula nie rozumiała za co go nagradzano, ale czuła instynktową dumę i, zawiąawszy każdą rzecz w papier, kładła ją do skrzyni, noszącej więcej barw na sobie niż szata Józefa (skrzynia ta, pierzyn pełna, była jedynym majątkiem rodziców, gdy wylądowali w Adelaidzie). Później niejeden list przyczynił

się do powiększenia zbioru w domowej arce. A gdy chłopiec nie powracał długo, ileż razy matka i bracia, już chłopci dorośli, żonaci, ojcowie rodzin, otwierali oną arkę i oglądali każdy przedmiot zawarty w niej, nakształt relikwii!

Raz spadł grom na spokojny dom nad Murrayem. Matula powtarzała właśnie, że syn skończy w lecie wysoką szkołę, i pójdzie do najwyższej, a ztamtąd już chyba na księdza, albo na inżyniera w wielkiej kopalni miedzi, w Burra-Burra—były to ideały dostojenstw dla całej rodziny. Bracia odetchnęli swobodniej, bo wychowanie brata ciążyło dotkliwie na gospodarstwie. Młode, piętnastoletnie dziewczę—krewna, przybrana zamiast córki—protestowała stanowczo, że jej braciszek nie zostanie księdzem... nie, nigdy. Wtem wszedł sąsiad, powracający z Kapundy, i doręczył starszemu bratu list. Pismo nie było bardzo czytelne, list był pisany w pośpiechu, lecz wszyscy znali charakter doskonale, i przeczytali łatwo. Niespokojny duch w rodzinie donosił, że we Wschodniej Australii zdarzył się wypadek niepojętej doniosłości, dla społecznych, ekonomicznych i politycznych widoków kraju. Tych twardych słów nikt nie rozumiał, że wszyscy energiczni ludzie śpieszyli tam, po bogactwa, które tworzą pierwszy stopień do wielkości,—*tandem*, że piszący wybierał się do kopalni złota. Wymieniał dziwne nazwiska, mówił o Bal-

laratach, Bendigach i t. d., ale zakończył list, jak zwykł był kończyć wszystkie swe mówki i pisma. Twierdził, że teraz widzi przed sobą nieomylną drogę do powodzenia materyalnego, o które chodziło mu nie z poziomych względów: chce się on odznaczyć w świecie. „Zobaczycie, że ludzie będą mówili o mnie, że zrobię coś nadzwyczajnego, rzetelnie wielkiego, coś, co się przechowa w druku i pamięci przyszlých pokoleń“.

Wędrowiec żył odtąd daleko od chaty nad Murrayem, nie potrzebował pieniędzy i radził sobie w obczyźnie, mocą własnego dowcipu. Jego przepowiednia sprawdziła się w części, i to prędko, bo w parę lat po wyjeździe syna, matka zaczęła odbierać gazety, wyrażające się pochwalnie o bardzo młodym człowieku. Nazwisko tej osoby było jej obce; lecz syn wyjaśnił w liście, że musiał przetłómaczyć swe miano rodzinne na język panujący w koloniach: inaczej zamknąłby sobie karierę. Gazety szły do skrzyni, a wdowa mruczała jeszcze żałośniej o ptaku na dachu, i o złym chłopczyku, który nie używa nazwiska ojca. Martwiło ją także, iż synalek pisał raz z Ballaratu, znów z innych kopalni, nareszcie z Sydney. — Niestatek, niestatek — szeptała. Byłaby sobie pozwoliła na ostrzejszą krytykę, gdyby Anielka, śliczna dziewczyna, nie z australskiego kraju, nie zatkała jej ust rączką.

Niespokojny syn zjawił się raz jeszcze. Matka

poznała go po chodzie, nim wszedł na podwórze, Anielka jeszcze wcześniej. Ile też było radości w tym domu! jak prędko rozwiało ją słówko „odjeżdżam“ — bo on znów wyjeżdżał, i już nie do Sydney, ale do Europy.

— Sydney za małe dla mnie. Chcę, żeby mnie ucywilizowani ludzie poznali, żeby inne większe gazety pisały, a świat szeroki mówił o mnie.

Bracia pokiwali głowami, słysząc nowy koncept, a matka załamała ręce w niemej żałobie. Nikt jednak nie sprzeczał się z nim. Przeszłość nauczyła ich, że to na nic się nie zda. Jedna tylko twarz w dworku zdradzała boleść niewymowną. Nawet wietrznik zmiarkował różnicę pomiędzy taką rozpaczą, a niemym smutkiem matki i zmartwieniem braci. Być może, iż zawahał się i potrzebował czasu na analizę swych uczuć, bo zabawił dłużej, niż zamierzał. Matce zdawało się parę razy, że zmieni postanowienie, bo starał się poznać Anielkę i przysiadł do niej przy każdej sposobności. Jej zdaniem, byłaby z nich doskonała para. On był cztery lata starszym od niej. O, gdyby się udało ich poswatać! Starsi bracia zabierali się do żeniaczki: czemużby nie naśladował ich przykładu. Może przez małżeństwo się ustakuje? Wszystkie te wątpliwości przeciął jednak niespokojny synalek. Paliło go na miejscu. Przyrzekł pisywać często i wrócić najdalej za pięć lat. Anielka szło-

chała przy pożegnaniu; on ją pocieszał po bratersku, ale nie zdradził nadzwyczajnego wzruszenia. Serce Edwarda nie mogło uczuwać miłości, bo go opętała była zupełnie inna namiętność. Jeżeli Anielka nie rozumiała tego, tem gorzej dla Anielki.

Wyjechał; z początku pisywał, a coraz smutniej; nareszcie umilkł. Tak brzmiała historia owej rodziny, i dwóch niewiast przy piecu, z których jedna była bardzo zgrzybiałą, druga już nie pierwszej młodości, obie zaś złamane cierpieniem. Dodajmy, że Aniela nie przestawała być w domu córką adoptowaną, chociaż trafiała się jej nieraz sposobność do wyjścia za męża.

Staruszka zdawała się być weselszą, odkiedy listy nie przychodziły—jakby odjęto od niej kolce, które przedtem przypominały jej nieszczęście. Bracia nie mówili o *nim* w jej obecności. W kole rodzinnem nie wspomniano go, nie zapominano jednak o wędrowcu. Nieraz łapał brat brata na gorącym uczyku, przy owej skrzyni, chociaż nie zagłądali już do niej razem. Nieraz też, gdy żony braci układały do snu dziatwę, a tylko pierwotni mieszkańcy dworku zostali przy ognisku, i grobowe milczenie panowało w izbie, cztery pary uszu wyteęzały się, jakby w nadziei, że znane kroki zateętnią na podwórku. Darmo słuchali!

Jednak mógł on wrócić lada dzień, wrócić bogatym, sławnym, jeszcze piękniejszym, weselszym

i wymowniejszym, niż po owej wycieczce do Sydney. A może umarł? W Europie bywają wojny i cholery. Może utonął? Tyle okrętów rozbija się w długiej podróży z antypodów. Któż znajdzie go w głębi wód wielkich, kto odszuka jego nazwisko pomiędzy milionami nagrobków, w starej, przeludnionej ziemi? Po takich rozmyślaniach zgrzybiała matka i bracia, których skronie zaczynały siwieć, i blada siostra, zagląдали, jedno po drugim, do malowanej skrzyni, obracając troskliwie pyszne książki i żółtkłe listy. Ale nie gawędzili o nim gromadnie. Tylko niewiasty, gdy nikt ich nie podsłuchiwał, wciąż powtarzały jego imię i tworzyły tysiąc domysłów o jego powodzeniu. One nie mogły uwierzyć, w to, żeby on umarł, a zaraz biały duch nie wionął przez ciemną chatę z nowiną o jego śmierci.

— Tak, czy żyje? — mruzczała matka. Był to dalszy ciąg rozmowy, którąśmy przerwali na początku rozdziału.— Jakże ty myślisz?

— O, musi, musi żyć i powrócić! — załkała młodsza kobieta.

— Musi, musi! — potakiwała staruszka, a pomarszczona jej twarz wygładziła się cokolwiek, jakby ją natchnął duch prorocy.

Przy tem wszystkim nie zapominały o chlebie i gospodarskich obowiązkach. Starowina kręciła się, jakby jej odrętwiałe dłonie w istocie przyczyniały się do porządku domowego, tamta zaś

umiała pracować, jakby dwie gospodynie przygotowywały wieczerzę dla żeńców.

— Co się stało Brysiowi?—zapytała matka.— Szczeka i szczeka. Popatrz-no na drogę z Kapundy. Pewnie chłopak proboszcza, z pocztą.

Drzwi były otwarte. Młodsza kobieta stanęła na ganku i ocieniając oczy dłonią, obróciła się do zachodzącego słońca. Ręka jej, cokolwiek zwiędła, wyglądała jeszcze powabnie, jeśli przez nią przeświecały różowe promienie.

— To nie poczta, matulu—zawołała głośno, bo starowina nie dosłyszała już. — Widzę człowieka z kołdrą błękitną na plecach; niesie ją jak chomątę... i idzie do chaty.

— Roboty szuka, roboty. Bywało zachodzili często tacy ludzie. Żniwiarki zastąpiły wszystko; radzi mu wszakże będziemy. Roboty nie mamy dla niego, ale będziemy mieli gościa na wieczerzę. Przywiąż Brysia.

Brys poszedł na łańcuch, a młodsza niewiasta powróciła do swego zajęcia. Podróżnik nie śpieszył się, i długo nie słyszano jego kroków. Wistocie stał on u wrót, jakby się wahał.

Przypatrzmy się mu. Jego ubiór był zupełnie odmiennym od drelichowej odzieży, używanej w okolicy, a pomimo pyłu i potu, którym strój ten przesiąkł nawskroś, było widać, że składał się cały z wełny. Gdyby tubylecy widzieli kiedykolwiek

górników, poznaliby zajęcie tego człowieka po ubiorze. Całe jego mienie składało się z kołdry zwiniętej w wałek i przepasanej przez plecy, nakształt ogromnej, błękitnej szarfy, tudzież z małego blaszanego kociołka. W takich kociołkach robią Australczycy herbatę, a z takim rynsztunkiem podróżuje robocza część tamtejszej ludności, którą nie stać na konia. Trzeba być wielkim nędzarzem, żeby nie mieć konia w Australii. Może podróżnik wstydził się swego ubóstwa i nie chciał wejść do dworku z tego powodu, że dom mówił o skromnym dostatku, ciszy, wygodzie; że z niego zdawał się wiać duch zadowolenia i miłości.... Ten obdarty człowiek tworzył straszny kontrast z dostatniem domowstwem. Gdy stanął pomiędzy otwartemi drzwiami a słońcem, zdawało się, że zamroczył wesele domu. Nie darmo Bryś ujadał wściekle.

Młodsza gospodyni znów wyszła przededwór. Nastąpiła cicha chwilka—niewyraźne głosy doszły do ucha staruszki—potem krzyk, i drugi krzyk.

Ten krzyk poznała matka, chociaż starość słuch przytępiła.

Bracia wracali właśnie z pola, pędząc bydło przed sobą, a wiodąc wesołą i krzykliwą rzeszę kobiet i młodzieży. Przyszli w samczas, żeby go wnieść do chaty. Nie wiedzieli kogo wyjęli z objęć siostry. On zemdłał po owem wołaniu, a ona podtrzymywała go, póki nie nadeszli,

A gdy go wnieśli do dworku, złożyli go na ojcowskim łożu. Leżał na niem długo. Był bardzo blady i wycieńczony, a wyglądał starzej od najstarszego brata; przyszedł jednak do sił, dzięki troskliwości tych, którzy go tak kochali! Jakkolwiek zmienił się fizycznie, iskra dawnego ducha nie zgasła zupełnie. Skoro tylko mógł wstać i obejrzeć się po domu, przestraszył krewnych słowami:

— Wypadałoby zbudować nowy dom, z cegieł, tam na pagórku. Chata wygląda staro; zapadła w ziemię. Co mówią o niej sąsiedzi?

Na szczęście dla starej chaty bracia byli nieugięci w tej mierze i mieli dwa głosy w radzie familijnej.

Nikt go nie pytał: zkąd przyszedł, co porabiał przez tyle lat? On sam wyrwał się raz:

— Matko, mówiłem wam, że nie powrócę aż zrobię coś nadzwyczajnego, coś rzeczywiście wielkiego. Zrobiłem to.... ludzie poczciwi nieprędko o mnie zapomną.

Nie opisał im wcale swego wielkiego czynu; oni też poprzestali najzupełniej na jednym jego słowie. Matka, bracia, Aniela, szwagrowe i całe sąsiedztwo było głęboko przekonane, że Edward odznaczył się nad wszystkich ludzi w wielkim, dalekim świecie, a zaspokoiwszy gorącą ambicję powrócił, żeby zamknąć oczy matki.

Nastąpiły bardzo jasne dni w dworku nad Murrayem. Tylko Edward mącił niekiedy, ale bardzo rzadko, ich błogą monotonością.

— Bracia—mówił on— to trzeba przerobić, tamto poprawić. Na przyszły miesiąc zmienimy to wszystko z gruntu.

Nie doczekano się takiego miesiąca. Edward nie posiadał już dość energii, żeby przemódz *vis inertiae* swych konserwatywnych braci. Reformy umierały w projektach. Gospodarstwo nad Murrayem wygląda jeszcze tak, jak je ojciec nieboszczyk zostawił, tylko że tyle rąk przybyło, iż do dworku przybudowano oficynę i sześćkroć więcej pola uprawiają; ale gospodarstwo idzie dawnym trybem. Nawet pory obiadowej nie mógł Edward zmienić. On sam pracuje postaremu i szczerze.

Niemy, cichy, ale niezłomny opór braci uspakał go z każdym dniem. Raz na tydzień zwierzał się jednak Anieli, że wychylenie się na świat szeroki rozwinęłoby ich umysły, które były cokolwiek tępe, ale najpoczciwsze pod słońcem. Zresztą przyjął munsztuk, a kto wie, czy nie jest szczęśliwym? Namiętnością jego życia była żądza odbierania podziwu i pochwał. Nigdy i nigdzie go tak nie podziwiano i nie chwalono jak teraz w ojczyście gnieździe. Miał miłość swej rodziny. Chłopi zbiegali się aż zpod Kapundy, żeby przysłuchiwać się jego słowom. Szwabi i nie-Szwabi rozdziawiali

gęby, gdy przemawiał. Niktby nie pozwolił powiedzieć, że Langton nie był najznakomitszym człowiekiem na całej świata półkuli. Nawet Cezar byłby się zadowolił hołdem, jaki Langton odbierał w tej australskiej osadzie. Ale nikt nie patrzył na niego z taką tkliwością i podziwieniem jak blada niewiasta, co siadała zawsze u stóp staruszki, podtrzymywała jej odrętwiałe ręce na swej głowie, jakby błogosławieństwo od niej brała.

Na czymże skończyła się Odysea Edwarda?

Nie wiemy. Wyjechaliśmy z Australii przed jej rozwiązaniem. Słyszeliśmy tylko, że dworek nad Murrayem jest najjaśniejszym światelkiem na rozległej, mrocznej równinie.

K O N I E C .



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

F

3655